Numer Świąteczny.

Nr. 12. Kraków, grudzień 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . .	kor. 1·50	zagranicą .	marek 1·50
półrocznie	„ 0·80	pojedynczy numer 15 gr.	

W państwie rosyjskiem:

Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

I MY DO WAS...

I my do was na kolędę
Jakby z gwiazdą spieszym w dal
Nie przełamać się opłatkiem
Byłby smutek, byłby żal.
Choć nie siędziem w waszej chacie,
Choć nie ujrzą oczy nas
Myśmy sercem, myślą, duszą
Z wami siostry, z wami wraz.

I my do was na kolędę
Gdy radosny błysnął dzień...
Dajże Boże szczęścia tyle,
By utrapień zniknął cień.
A to szczęście łatwo zejdzie
W każdej chaty wstąpi próg,
Gdy żyć będziem bez skaz, winy,
Jak uczy Zbawca — Bóg.

I my do was z tem życzeniem
Uczcie dzieci dobrze żyć!
W tem największy cel, zasługa,
By nałogi, wady, zmyć.
Z najsilniejszym wrogiem walka
Dzień zwycięstwa Polsce da,
Gdy nauczy matka dzieci
Strzedz się winy, strzedz się zła.

I my do was na kolędę
Ślemy prośby cichej głos...
Pamiętajcie, w waszych rękach
Jest Ojczyzny lepszy los!
Polskie dzieci — przyszłość kraju
Z dzieci dobrych — zacny lud,
Nowych Piastów dajcie Polsce,
Bóg nagrodzi za wasz trud!

Jadwiga S.

Cudowna noc.

(Obrazek w roczniku szóstym z r. 1905 Nr. I.).

Baśń prawią starzy ludzie,
Ach! taką baśń przedziwną,
Że, Dziecię z niebios przychodzi
Z gałązką w dłoni oliwną.

W giezłeczku stąpa białem,
Światłem mu główka płonie,
Na wszystkie strony świata
Gałązką wieje z dłoni.

A za niem idą w zgodzie,
Wszelakie puszcz zwierzęta,
Lew srogi, tygrys, jeleń,
Przy wilkach idą jagnięta.

Lew krwawem nie błyska okiem,
Wilk z owcą się nie wadzi,
Idą za dziecka krokiem,
Ono łby płowe im gładzi.

Jedna — jest noc takowa,
Jedyna tu na świecie,
Wtedy do jamy żmijowej
Bez lęku wchodzi dziecię.

Cudowna noc baśniowa,
Gdzie nie kąsają węże,
A z krwawą lew paszczęką,
Między owieczki lęże.

Ach! taki świat bez trwogi,
Wskróś owian czary dziwnemi,
Że nie masz piersi wrogiej,
Na całej — całej — ziemi.

Co w sercach mstą kipiało,
Gniew, zawiść, zbrodne chęcie,
Anioły dłoną białą,
Unoszą w niepamięcie.

I prawi baśń prastara,
Jeszcze o większym cudzie,
Że zniknie z ziemi waśń krwawa,
Braćmi się staną ludzie.

Mir wszelkie ogarnie plemię,
I wichry i przestworza,
Aż po wsze krańce ziemie,
Aż po obręby morza.

A. B.

BEZ SZYNELI.

— Gdzie idziesz? – pyta wicher, śmiejąc się szatańsko, a tak mu w twarz plunął zamiecią śnieżną, iż chłopak stanął, bo nagle noc ciemna dokoła otoczyła.

Wyjął zmarzłą, jak kość twardą chuścinę, ocierał oczy z śniegu, usta przetarł, ażeby mogły wciągnąć falę oddechu.

— Gdzie ty idziesz? — pyta ostry wicher i dzikim świstem gra nad głową młodzieńca.

A młodzian wpatrzony w dal idzie szybko nie zważając na przeszkody i zmęczenie.

Dookoła pustka głucha...

Śnieg zarównał jary i rozpadliny, zniweczył wzniesienia i niziny, wyścielił wielki niedojrzany okiem kobierzec, a nad tego kobierca niezmierzoną przestrzenią buja wolny, on jeden tylko wicher, carskich więzów nie czujący na sobie... on jeden wolny tam, gdzie niewolnictwo dokoła.

Jemu jeszcze moc i wszechmoc carskiej władzy nie zakreśliła granic bytu, jemu jeszcze nie przeczytano paragrafów surowych, co „dozwoleno“, a co „zakazujetsia“, więc leci i szumi, śpiewa dziką pieśń swobody i śniegiem rzuca, mrozem pali, wirowym ruchem cofa i zatrzymuje.

— Gdzie ty idziesz młody, śmiały Polaku?, pyta znów wicher owijając się jako wąż około twarzy młodzieńca. Nie żal ci pięknego, wspaniałego Petersburga? Nie wieszże o tem, iż oddalasz się coraz więcej od łaski i opieki cara, pana północy? Daleka droga przed tobą i iść nie warto...

Młodzian stanął, rzucił okiem w przestrzeń białą bez końca i szepnął:

„Kraina pusta biała i otwarta
Jak zgotowana do pisania karta...
Czyż na niej pisać będzie palec Boski?
I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skrzydła prawdy świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem...“

— Car rządzi ludźmi, car pisze na tej karcie historyę ludów... a ty nie wróć, znowu zaczął świstać i huczeć wiater ostry... i znowu szatańskim śmiechem zawodził dokoła i znowu owijał się jak wąż około postaci młodzieńca, tamując mu przejście.

— Idzie!... Petersburg wspaniały, Petersburg bogaty, tam przyszłość przed tobą... wróć!

Lecz młodzian idzie, ani nie lękając się dalszego trudu, ani nie myśląc o powrocie. On to wie dobrze, iż 160 mil ma przejść pieszo, ażeby zobaczyć się z matką, ażeby znaleźć się w Ojczyźnie... Wybrał się z Petersburga nagle, prawie jak ptak zerwał się do lotu, a spiesznie idzie, bo go rwie myśl złocona radością.

— Może przyjdę przed wigilią, może stanę w progu matki jeszcze wtedy, kiedy ona opłatka nie będzie miała w ręku — może ja pierwszy do niej rękę wyciągnę i powiem:

— Matko!... Anioł pasterzom mówił!...

— Gdzie idziesz? — znowu huczy wicher i tańczy przed nogami wędrowca i zrywa śniegu zaspy, ażeby drogę utrudnić.

— Idę do matki — odpowiada młodzian — idę daleko, 160 mil mam przejść pieszo z Moskwy do Warszawy, bom dawno wśród rodziny nie był, a teraz serce rozraniło się tęsknicą i woła i prowadzi i niesie mię jak ptaka po nad oceanu fale...

Ubogo odziany, ledwie kawałkiem chleba odżywiany, szukając spoczynku częstokroć w pustem polu, szedł tak w 62 roku w grudniu, Gustaw Świeżawski, z Moskwy do Warszawy, ażeby odwiedzić matkę i znaleźć się w Ojczyźnie. Wśród wielkiego mozołu i niedostatku zdobywał on wiedzę w Petersburgu na uniwersytecie, teraz jednak sprzedał co miał, do Moskwy przyjechał, a stąd pieszo puścił się w drogę...

Słupy milowe zostawały poza nim... on je liczył i po każdej dziesiątce stawał się weselszy.

— Już tylko 120 mil, już tylko 100 mil... Czem zaś był bliżej granic Ojczyzny, tem większy zapał go unosił, tem zdawało mu się powietrze lżejsze, droga łatwiejsza i szeptu dzikiego wichru mniej słychać...

— Idę do ciebie matko z oddali, bo mi się serce rozraniło nieukojoną tęsknicą, bo mi się dusza rwać zaczęła do tego, co rodzinne, nasze, co sercu balsamem się staje, co siły dwoi i mnoży przeświadczeniem, iż jesteśmy blizcy sobie i rozumiemy się wzajem...

— Idę do ciebie matko, mówi Świeżawski, licząc już przeszłych mil 120!... Jeszcze 40, jeszcze 30, a będzie bliżej... Rzuciłem Petersburg, przerwałem naukę... bo mi się w oczach zapalił ogień tęsknicy, bo mi się w sercu rozkrwawiła blizna rozłąki i zapragnąłem tobie być pomocą i opieką, jak ty mnie byłaś przez lat tyle.

Siły słabną, zmęczenie coraz widoczniejsze, bo przebywane pieszo mile zabrały drogim okupem mocy młodzieńczej połowę.

Czasby był na spoczynek. Nogi krwawią się, a policzki mrozem spalone zdają się jedną raną.

Lecz Świerzawskiemu uśmiecha się wspomnień anielskich obrazek, wigilia, opłatek, kolęda i matka, droga ukochana matka...

— Nie spocznę! pójdę, ażeby w wieczór wigilijny stanąć przed matką i rzec: „Anioł pasterzom mówił“.

. . . .

Zbladła, ujrzawszy go...

Wyciągnęła drżące dłonie, przytuliła spaloną mrozem, główkę do piersi...

— Mamo! — szeptać zaczął Świażawski, nie wiesz jaka mnie tęsknica tu wiodła, nie wiesz, jaką siłą było me pragnienie ujrzenia ciebie... a ty mamo patrzysz na mnie bez radości, a ty mnie witasz bez uśmiechu szczęścia, czemu?... Daj opłatek, przełam go przy moim sercu — tyle dziś radości i wesela w świecie, tyle nadziei, miłości dokoła, czegoż nam braknie do wesela, gdy jesteśmy razem?...

— Jakaś ty milcząca mamo! Myślałem, iż ujrzawszy mię, wołać poczniesz na przyjacioły i sąsiady, by przyszły naszą radość widzieć, myślałem, że rozdzwoni się w twych ustach śpiewania struna i nucić mi tak będziesz wesoło, jak nuciłaś, kiedy pacholę usypiało przy twojem łonie...

— Nie myśl mamo, że wrócę zaraz, że znów do Petersburga gnać będę, zostanę, zostanę tu, bo chcę być w Ojczyźnie, bo chcę mieć się Polakiem, bo mi wszystko carskie zbrzydło i oczy me kaleczy i duszę mą rani...

A matka blademi usty szepce:

— Pobór do wojska!...

— Branka? — woła Świeżawski z jękiem rozpaczy...

— Tak mój synu... a ty masz lat 22...

— Mieć szynel żołdaka? O nie! przenigdy! Munduru moskiewskiego nie wdzieję i w szeregu żołdaków nie stanę. Otrzej łzy matko... mówmy wesoło: „Anioł Pasterzom mówił“! O mamo! mnie się tak tęsknica rozpaliła w piersi, mnie niesły takie skrzydła zapału i pragnienia, ażeby być w Polsce i z tobą, że nawet i wieść o brance mnie do Petersburga nie wróci, ani myśl o szyneli tęsknicy nie uleczy... Podaj opłatek! Nućmy kolędy!

. . . .

A gdy wiosenne słońce 63 roku przyszło wypijać skrwawionych śniegów płatki, zastało na mogile Świerzawskiego matkę w pół żywą.

Trzymała w ręku powstańczą czamarkę i uścielała ją jako kobierzec na mokrym piasku mogiły...

— Śpij synu... twa pierś polska została bez szyneli!!...

Jan Świerk.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Polska wydobyta z upadku i rozbicia przez Władysława Łokietka, dostała się po jego śmierci w dobre ręce. Syn Łokietków bowiem, Kazimierz, jedyny z królów polskich ozdobiony przez potomność przydomkiem „Wielkiego", był człowiekiem nadzwyczaj mądrym i genialnym politykiem, t. j. mężem. który z niezwykłą zręcznością umiał kierować publicznemi sprawami. Kazimierz rozumiał, że aby uchronić od ponownego rozbicia z takim trudem zjednoczone przez ojca jego rdzenne dzielnice Polski, trzeba je przedewszystkiem wzmocnić wewnętrznym ładem, porządkiem i dobrobytem tak, iżby dość siły miały nie tylko do obrony przeciw czyhającym zewsząd wrogom, ale także i do odzyskania reszty dzielnic polskich, znajdujących się jeszcze w mocy tych wrogów: jak Ruś, Śląsk i Pomoże. Całą więc usilnoość swych starań skierował na zapewnienie Polsce pokoju, w czasie którego możnaby ją odpowiednio urządzić i stworzyć z niej jednolite, silne i siły swojej świadome mocarstwo. Zrzekając się więc na razie ponętnej chwały zdobywcy i oswobodziciela, zajął się przedewszystkiem zapewnieniem pokoju ze sąsiadami i wewnętrznem urządzeniem kraju, który przy objęciu rządów przez Kazimierza Wielkiego, rozciągał się od Karpat do brzegów rzeki Noteci, od granic Śląska po Bug i Narew.

W tych granicach dzielnice Polski były zjednoczone; lecz dzieliły je miejscowe urządzenia, prawa, przyzwyczajenia, pozostałe z czasu podziałów. Trzeba było wszystko to ujednostajnić, porównać, upodobnić, stopić w jednakie urządzenie, jednakie prawo dla całego kraju.

Kazimierz Wielki, ukoronowany w r. 1333 uroczyście na Wawelu w Krakowie, zabrał się z niezmierną usilnością do żmudnej pracy twórcy pokoju i prawodawcy narodu.

Zawarł dłuższy rozejm z Krzyżakami, pozostawiając na razie, w oczekiwaniu wyroku papieskiego, Pomorze w ich rękach, a następnie ugodził się z królem czeskim Janem Luksemburczyk em, który jako następca Wacława II. rościł sobie pretensye, zupełnie zresztą nieuzasadnione, do Polski i tytułu króla polskiego. Za 20 tysięcy kóp groszy praskich zrzekł się Jan urojonych praw swoich — co do Śląska zaś zgodzono się, że ci książęta śląscy, którzy złożyli już hołd poddańczy królowi czeskiemu, pozostaną pod jego władzą, inni zaś powrócą pod panowanie polskie. Od południa, od strony Węgier, również zapewnił sobie Kazimierz pokój, a nawet przyjaźń sąsiada. Na tronie Madjarów zasiadał, znany nam już z czasów Łokietka król Karol Robert, szwagier Kazimierza Wielkiego, bo mąż siostry jego Elżbiety. Król nasz zostawał z siostrą i szwagrem w serdecznej zażyłości i przyjaźni, to też nie trudno mu było zawrzeć z Węgrami korzystne przymierze. W przymierzu tem postanowiono, iż na wypadek śmierci Kazimierza bez pozostawienia potomka płci męskiej, zasiądzie na tronie polskim królewicz węgierski, Ludwik, syn Elżbiety, a więc siostrzeniec króla polskiego.

Zapewniwszy sobie w ten sposób pokój zewnętrzny, zajął się Kazimierz wewnętrznemi sprawami kraju.

Przy pomocy światłych i ojczyznę miłujących obywateli, jak np. Jaśko z Melsztyna, Spytek kasztelan krakowski, kanclerz Zbigniew, Piotr kasztelan sandomierski, uporządkowanie spraw tych szło pomyślnie. Ongi, za Bolesławów, mieli królowie do pomocy urzędników, zwanych wojewodami, kasztelanami i kanclerzami. Prócz kasztelanów. którzy byli przełożonymi obronnych zamków i których wskutek tego wiecej bywało, był wówczas w Polscezwykletylko jeden wojewoda, który siłę zbrojną na wojnę wodził, oraz jeden kanclerz, zawiadujący kancelaryą królewską i cywilnemi sprawami państwa. Podczas rozbicia Polski na dzielnice, namnożyło się dużo wojewodów i kanclerzy, gdyż każdy książe chciał mieć własnego dowódcę wojska i przełożonego swej kancelaryi. Prócz tego w czasie panowania króla Wacława, poustanawiano na wzór czeski starostów, t. j. urzędników

przełożonych nad poszczególnemi okręgami kraju. Po zjednoczeniu dzielnic trzeba było zrobić z tem porządek i zarząd kraju uprościć i uporządkować. Otóż poradzono sobie w ten sposób, iż starostów pozostawiono nadal, jako urzędników królewskich, wojewodów zaś i kasztelanów zamieniono w dygnitarzy, przewódców stanu rycerskiego, zawsze jednak mianowanych przez króla i od niego zależnych. Wreszcie prowincyonalne urzędy kanclerzy skasowano, a ustanowiono jednego kanclerza na całą Polskę. Kraj dzielił się odtąd na województwa i powiaty. Na czele województwa stał wojowoda, który zajmował się sprawami ziemian i był dowódcą pospolitego ruszenia województwa. Kasztelanie władali powierzonymi im zamkami i pomagali wojewodzie w dowództwie, starostowie zaś rządzili powiatami, odnosząc się wprost do króla.

Równocześnie z uporządkowaniem administracyi, to jest zarządu kraju, zajął się Kazimierz Wielki ustanowieniem jednego prawa dla całej Polski. Rozpatrzono rozmaite prawa, powstałe w czasie podziału, w poszczególnych dzielnicach, porównano je, wybrano z każdego co uważano za najlepsze i tak powstał słynny zbiór praw polskich, wspólnych i jednakich dla całej naszej ojczyzny. Zbiór ten uchwalony na zjeździe w Wiślicy, nazwano statutem wiślickim. Jest to wspaniały pomnik prawodawstwa polskiego z czasów Kazimierza Wielkiego, wyróżniający się od praw, obowiązujących współcześnie w innych krajach Europy, wyrozumiałością, łagodnością i zamiłowaniem wolności.

Najnowsze badania historyczne wykazały, że w ówczesnej Polsce panowała wolność i swoboda, jakiej równocześnie, nigdzie nie było. Naród dzielił się wprawdzie na stany, tak samo jak wszędzie indziej wówczas na świecie, zachodziła ta jednak różnica na korzyść narodu polskiego, że gdy w innych państwach stany te tworzyły stopnie społeczne i jedne drugie uciskały, u nas każdy stan miał swoją wolność i swobodę. Wszędzie indziej stany stały ponad sobą, w Polsce Kazimierzowej obok siebie, jako swobodne członki wspólnej rzeczypospolitej, którą wówczas Polska już rzeczywiście była, chociaż nie nosiła jeszcze tego miana.

Były stany: duchowny, ziemiański i mieszczański. Stan duchowny składali biskupi, prałaci i księża wszelkiego rodzaju, wyposażeni w rozległe dobra, które stanowiły źródło ich utrzymania. Prawa ich i władza była ściśle duchownej natury i ograniczały się do wpływu, jaki i dziś jeszcze wywierają duchowni, na prawowiernych wyznawców wiary katolickiej. Stan ziemiański składał się z właścicieli ziemi, rycerzy, obowiązanych do służby wojskowej w obronie ojczyzny o swoim własnym koszcie i z dzierżawców, zwanych kmieciami. Kto był właścicielem ziemi, ten obowiązany był jej bronić i tem samem był rycerzem, czyli szlachcicem; kto jej nie miał, tylko ją dzierżawił, ten nie służył wojskowo, ani nie ponosił żadnych ciężarów publicznych.

Mieszczanie, zajmujący się po miastach handlem, przemysłem i rzemiosłami, posiadali obszerny samorząd i podlegali wprost władzy i sądownictwu króla. Ówcześni mieszczanie nasi byli po większej częci cudzoziemcami, pochodzącymi głównie z Niemiec; osiedleni, jak to już wiemy, po napadach mongolskich i tatarskich, na swojem niemieckiem prawie, magdeburskiem zwanem, dlatego, iż najwyższy sąd ich był w niemieckiem mieście Magdeburgu. W sprawach spornych, a nawet i kryminalnych, szły rekursy w ostatniej istancyi do sądu magdeburskiego. Było to bardzo złem i niewłaściwem; skądże bowiem sędziowie niemieccy, nieznający naszego kraju, ani obyczajów, ludzie obcy, mieli rozstrzygać nasze domowe sprawy i zatargi, oraz wyrokować o winach popełnionych w Polsce? Kazimierz Wielki zniósł ten szkodliwy zwyczaj. Odtąd rekursy miejskie załatwiał postanowiony w tym celu najwyższy sąd na zamku królewskim w Krakowie, pod przewodnictwem samego króla, lub wyznaczonego przez niego, królewskiego zastępcy.

Poza stanami, składającymi ówczesny nasz naród, byli w Polsce jeszcze t. zw. „goście“, t. j. kupcy i inni ludzie przybyli w rozmaitych celach na czas dłuższy, lub krótszy. Goście używali zupełnej swobody i pozostawali pod opieką prawa krajowego. Do takich „gości“ należeli wówczas także żydzi, którzy prześladowani wszędzie srogo na świecie, napływali do Polski, pod ochronę polskiej swobody i gościnności.

Niewolników, ludzi przywiązanych do roli, ówczesna Polska całkiem nie znała.

Kmieć był wolnym, zarówno jak szlachcic, lub mieszczanin. Jako dzierżawca ziemi zaś, był ograniczonym pewnemi tylko zobowiązaniami, tak samo, jak jest nim i dzisiaj człowiek, pracujący na wynajętym gruncie. Jak

dziś człowiek taki nie może każdej chwili, według upodobania, porzucić swojej dzierżawy i pójść precz, bez zawiadomienia właściciela i załatwienia z nim rachunków, boby to było stratą i krzywdą dla tego właściciela, tak i w owe czasy kmieć, chcąc porzucić dzierżawę, musiał ją wypowiedzieć na rzód i dopełnić umówionych, lub też powszechnym zwyczajem przyjętych warunków. Pozatem był panem swej woli tak, jak współczesny nam dzierżawca.

Nie było więc mowy w ówczesnej Polsce o jakimkolwiek ucisku ludu. Powieść o ucisku takim wymyślili tegocześni, w niemieckiej szkole wykształceni pisarze historyczni, którzy nie znając dokładnie ówczesnych stosunków polskich, utożsamiali je z niemieckimi i błędnie sądzili, iż na naszej ziemi panowała taka niewola ludu, jak w ówczesnych Niemczech; gdy tymczasem u nas było całkiem inaczej. Nie wynika z tego, ażeby prawdziwymi nie były rozmaite piękne rysy sprawiedliwości i opiekowania się słabymi, jakie przechowała nam tradycya o królu Kazimierzu Wielkim; owszem, król ten był zawsze opiekunem słabszych przeciw mocniejszym, pokrzywdzonych przeciw krzywdzącym, bez względu na to, do którego stanu należeli. Nie był jednak, bo być nie potrzebował, wyłącznym opiekunem kmieci, a tembardziej chłopów, którzy za jego czasów, w tem znaczeniu, jaka później do tej nazwy przylgnęła, nie istnieli wcale. Chłopem zwano w owe czasy każdego tęgiego, silnego człowieka, chociażby on był szlachcicem, a nawet i możnym szlachcicem, czyli wielmożą. Piękny więc zresztą przydomek: „Król chłopków“, jaki nie współczesne, jeno późniejsze pokolenia przydały Kazimierzowi, obok nazwy „Wielkiego“, nie jest dość ścisłym, raczej i prawdziwiej możnaby go nazwać królem ubogich, królem potrzebujących wsparcia i pomocy.

Równocześnie z porządkowaniem zarządu kraju i praw narodowych, starał się Kazimierz Wielki o uprzystępnienie ziemi naszej dla handlu zagranicznego i budował w tym celu liczne drogi i gościńce; nie zapominając zaś o tem, że pokój wiecznie trwać nie będzie, owszem, że niezadługo przyjdzie stoczyć walkę orężną z Krzyżakami i innymi wrogami Polski, zajął się umocnieniem miast, zamków i grodów. W owe czasy zamek warowny, miasto należycie obwarowane znaczyły nadzwyczaj wiele, nieskończenie więcej, aniżeli obecnie. Proch strzelniczy wynaleziono dopiero w połowie panowania Kazimierza, w r. 1350; wynalazek ten jednak nie rychło znalazł zastosowanie we wojnie, długo jeszcze walczono wyłącznie ręczną, tak zwaną białą bronią, t. j. szablami, mieczami, dzidami itp. Broń taka bezsilną jest wobec murów twierdz warownych. Niezbyt skutecznemi były i używane wówczas machiny do rozbijania murów, jak tarany, wieże oblężnicze i t. p. To też zamek, lub miasto, obwarowane murami dawało silny i niemal niezdobyty punkt oparcia podczas wojny. Przed Kazimierzem Wielkim, nasze zamki, grody i miasta, opasane były po większej części drewnianemi obwarowaniami. Nawet zamek na Wawelu w Krakowie, otoczony był drewnianą palisadą. Łatwo zrozumieć, że takie drewniane twierdze nie zapewniały dostatecznego bezpieczeństwa. Imał się ich ogień, można je było wyrębywać toporem. To też Kazimierz postarał się o zastąpienie ich murami z kamienia i cegły palonej. Za panowania jego obwarowano w ten sposób miasta: Wieliczkę, Skawinę, Kazimierz, Olkusz, Będzin, Lelów, Sandomierz, Wiślicę, Szydłów, Radom, Opoczno Wąwolnicę, Lublin, Kalisz, Pyzdry, Stawiszyn, Wieluń, Konin, Piotrków, Łęczycę, Płock, Inowłódz, Lwów, Sanok, Krosno, Tczew i inne. Przebudowano i obmurowano zamek na Wawelu, oraz bądź zbudowano, bądź odnowiono zamki: w Kaliszu, Poznaniu, Sandomierzu, Lublinie, dwa we Lwowie, w Pyzdrach, Sieradzu, Wieluniu, Łęczycy, Kole, Płocku, Niepołomicach, Szydłowie, Piotrkowie, Przedborzu, Bereźnicy, Bolesławcu, Ostrzeszowie, Przemyślu, Lanckoronie, Będzinie, Lelowie, Czorsztynie, Osieku, Krzepicach, Sieciechowie, Solcu, Zawichoście, Korczynie, Koninie, Nakle, Międzyrzeczu, Kruszwicy, Złotoryi, Bydgoszczy, Sanoku, Lubaczowie, Trembowli, Haliczu, Opocznie, Rawie, Wyszogrodzie.

Jeżeli dodamy, że za wpływem króla powstały całe miasta nowe, jak np. Kazimierz koło Krakowa, że zbudowano nie mało wspaniałych ratuszów i bazarów handlowych, jak np. Sukiennice krakowskie, że wzrosła także liczba murowanych kościołów, to przyznamy słuszność starodawnemu twierdzeniu, że Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

Jeżeli do zakładania zamków, obmurowywania miast i grodów, skłoniły Kazimierza względy wojenne, to do tworzenia miast nowych była mu pobudką niemiecka przeważnie

narodowość mieszczan naszych. Widzieliśmy, jak w czasie rozbicia Polski na dzielnice, zuchwale poczynali sobie ci przybysze, jak bardo wdzierali się w prawa narodu i jego władców, pragnąc rej wodzić w Polsce. Głównym jednak celem ich był dobrobyt, było zyskanie jak największych bogactw. Tam gdzie o zysk chodziło, gotowi byli nasi Niemcy zawsze do ustępstw. Tę słabą ich stronę wyzyskał król znakomicie. Nieopodal ich głównych siedzib, potworzył przedmieścia, a nawet zupełnie odrębne miasta, jak np. Kazimierz i Kleparz, koło Krakowa, zamieszkałe bądź wyłącznie, bądź przeważnie, przez polską ludność mieszczańską. Zapomocą tych przedmieść i miast, trzymał Niemców w pokorze i uległości; mieli oni bowiem rozmaite przywileje, nadane przez dawniejszych władców polskich, jak np. prawo targów, prawo ceł, zmuszające obcych kupców do przejeżdżania przez miasto i opłacania się mieszczanom. Dawało to im ogromne dochody, które król mógł w każdej chwili ukrócić, przez udzielenie takiego samego przywileju przedmieściu, lub nowo utworzonemu miastu. To też pod rządami Kazimierza wielkiego Niemiaszki cicho siedziały, nie mieszały się do polityki i tak przywykły do uległości, że już nigdy nie podniosły głowy przeciw narodowi, aż zamieniły się z czasem w Polaków, ciałem i duszą oddanych ojczyźnie.

Tak rozległe prace około wewnętrznych spraw Polski, nie wyczerpywały całej działalności genialnego króla. Nie zapominał on o potrzebie oświecania narodu, postarał się o liczne szkoły początkowe i wyższe, a w r. 1364 postawił na ich czele szkołę główną, najwyższą, obejmującą całokształt nauk, zwaną Akademią, Uniwersytetem, albo Wszechnicą. Z wyjątkiem Italii i Hiszpanii, gdzie podobne zakłady naukowe już dawniej istniały, w całej zresztą Europie, była przedtem tylko jedna, jedyna Wszechnica w Paryżu, od r. 1212 istniejąca. Drugą założono dopiero niedawno, bo w roku 1348 w Pradze czeskiej — nasza więc, ustanowiona w Krakowie, była trzecią z rzędu. We Wiedniu założono taką szkołę dopiero w rok później. Dla Polski, graniczącej od wschodu z ludami w części pogańskimi, w części jeszcze nie-oświeconymi, założenie krakowskiej Wszechnicy było prawdziwą chwałą i rzeczą wysoce użyteczną, jak świadczy świetny rozwój tej szkoły i przetrwanie jej w coraz większym rozkwicie, aż do dni naszych.

Dzięki tak pomyślnemu rozwojowi krajowych spraw wewnętrznych, kierowanemu zręczną i niestrudzoną ręką królewską, Polska zmieniła się w mocarstwo silne, kwitnące, bogate i od obcych wysoce poważane. Świadkiem tego zjazd krakowski w r. 1363, spowodowany zaślubinami wnuczki Kazimierza Wielkiego, księżniczki pomorskiej Elżbiety, która wyszła za mąż za cesarza rzymskiego Karola IV. Jak ubiegano się o przyjaźń Polski i liczono z jej potęgą, dowodzi tego nietylko fakt, iż król wydawał wnuczkę za cesarza, który poczytywał się za pierwszego z monarchów europejskich, ale i grono osób, które uczestniczyło w uroczystości ich weselnych. Uroczystości te były jednym z najwspanialszych zjazdów monarszych, o jakich wspomina historya. Brało w nich udział pięciu królów i dziesięciu książąt panujących. Prócz gospodarza zjazdu Kazimierza Wielkiego, zasiadali za stołami weselnymi: Karol IV., król czeski, a zarazem cesarz rzymski; Ludwik, król węgierski (od r. 1342); król duński Waldemar; Piotr, król cypryjski; królewicz czeski Wacław; książęta śląscy Bolko i Władysław; książę mazowiecki Ziemowit; książęta austryaccy: Rudolf, Alfred i Leopold; Otto, książę bawarski; Jan, margrabia morawski; wreszcie ojciec panny młodej, a zięć króla Kazimierza, Bogusław V. książę pomorski.

O bogactwie znów ówczesnej Polski świadczy nie tylko przepych, z jakim odbywały się gody weselne, ale i przyjęcie, jakie gościom królewskim przygotował w domu swoim, mieszczanin krakowski, słynny Wierzynek. Uczta wyprawiona przez niego w niczem nie ustępowała królewskim przyjęciom, w urządzeniu domu rzucało się w oczy bogactwo iście monarsze, a na kominkach ku czci dostojnych gości i zadowoleniu ich zmysłu powonienia, palono wonne drzewo cynamonowe!

Przecież nietylko gospodarzem wzorowym i znakomitym politykiem był Kazimierz Wielki — w potrzebie umiał on dobyć zwycięsko oręża, umiał postarać się o rozszerzenie granic kraju. To też pod rządami króla Kazimierza Polska tak rozpostarła swoje granice, iż przy końcu jego panowania była niemal dwa razy tak wielką, jak w chwili, gdy nad nią obejmował rządy.

Co prawda, to i okoliczności pomyślnie się składały dla Polski i króla.

W roku 1340 umarł Bolesław książe halicki, syn księcia mazowieckiego Trojdena, a bratanek stryjeczny króla polskiego. Księstwo halickie było odwieczną ziemią polską,

już bowiem za Mieczysława I. dawno do Polski należało, pod nazwą „Grodów Czerwień skich“. W czasie rozdzielenia Polski na dzielnice, dostało się pod panowanie książąt normandzkich, ruskimi zwanych, a z nimi razem pod zwierzchność tatarskich hanów. Przezwano je wówczas „Rusią Czerwoną“. Bolesław odziedziczył księstwo halickie po matce swojej, Maryi, księżniczce halickiej z domu.

Na wieść o śmierci Bolesława, Kazimierz Wielki pospieszył pode Lwów, na czele wojska i oswobodziwszy Ruś Czerwoną od zwierzchnictwa tatarskiego, odzyskał ją dla Polski. Nie był to zabór, ani podbój, lecz odzyskanie dawnej dzielnicy polskiej, która chwilowo ulegała obcej przemocy.

W dwanaście lat później, korzystając z osłabienia książąt litewskich, po śmierci potężnego Giedymina, odzyskał król Kazimierz w r. 1352 Wołyń i zachodnią część Podola. Teraz rozciągała się Polska, w kierunku z zachodu na wschód: od granic Śląska, nieopodal rzeki Odry do stepów Ukrainy, a z południa na północ: od Karpat po brzegi rzeki Noteci.

Kazimierz Wielki umarł dnia 5 listopada 1370 r. wskutek rany w nodze, spowodowanej upadkiem wierzchowca królewskiego na polowaniu.

Polskę pozostawił w kwitnącym stanie, a nazwa „Wielkiego“, słusznie mu się należy. Niemniej jednak pomimo niezmiernych zasług króla Kazimierza, dziwnym wydać się może, że naród polski nazwą tą nie uczcił żadnego ze swoich króli bohaterów, żadnego z króli wielkich wojowników, tylko króla gospodarza, który więcej uczynił dla dobrobytu narodu, niż dla jego chwały orężnej. Tak, dziwnem się to wydać może, ale tylko na pozór. W gruncie rzeczy nic w tem nie ma dziwnego, gdyż naród nasz nigdy nie był zaborczym, a wojownicy nasi nigdy nie byli krwi żądnymi żołdakami, jeno rycerzami, obrońcami ojczyzny. Na pole walki i zwycięstw, wiodło ich nie zamiłowanie w przelewaniu krwi i żądza łupów, ale miłość ojczyzny i poczucie obowiązku. Żołnierz polski był równocześnie rycerzem i ziemianinem, a chociaż dzieje świadczą, iż zdolnym był do bohaterskich, cudownych nieraz czynów wojennych, to przecież milszym mu był cichy zagon rodzinny, niż wrzawa bojowa.

Więc nic dziwnego, że najwyższe odznaczenie w nazwie „Wielkiego“, otrzymał od rycerskiego narodu polskiego król gospodarz, bośmy, jak to pięknie i prawdziwie wypowiedziała znakomita pieśniarka nasza narodem:

„... który nigdy hufcami zbrojnemi
Dla marnych łupów obcej nie najeżdżał ziemi,
Który choć silny, słabszych nigdy nie ciemężył,
A jak braci miłował tych, których zwyciężył“.

Inż. Eustachy Śmiałowski.

CHŁOPI KASZLĄ.

Przy drodze warszawsko-lubelskiej leży wieś Garwolin.

Tam w 64 roku, dnia 26 marca zjechała starszyzna moskiewska, ażeby włościanom odczytać adres do cara i zmusić ich do podpisu.

Jenerał Berg sam odezwę ułożył, a zaręczał, iż każdy, kto podpisze, zyska łaskę cara dla siebie i dla dzieci i dla całego kraju.

Zwołano więc włościan z Garwolina i ze wsi okolicznych, stosowną mową jeszcze raz usiłowano serca ich przygotować i — ropoczyna się czytanie.

Adres do podpisu dawany miał następujące zwroty:

— „Do Ciebie władco najpotężniejszej ludności Słowian, znowu bratnie plemię ludu twego głos swój błagalny podnosi. Racz Naj. Panie być ojcem ludów twoich, co to winy przebacza.

...Zakaszlał nagle jeden z włościan, za nim drugi... trzeci... kaszel taki gwałtowny porwał gardła chłopskie, iż pan oficer musiał przestać czytać...

Spojrzał gromkim wzrokiem, gdy ucichło się, czyta dalej:

— A to winy przebacza i zapomina, a wszystkie dzieci swoje zarówno do serca swego przyjmuje...

Lecz co to? znów kaszel się zrywa jak burza dziwna... chłopi kaszlą chórem, tak, że słowa adresu gubią się...

Jeszcze groźniejsze wejrzenie... przerwa... gdy cisza zaległa.... Moskal czyta:

— ...iżbyśmy uczuciem bratniem spojeni i między sobą i ludami Twojemi byli podziwem współplemiennem naszych. Niech monarcha, którego wielbią miliony za łaski do-

znane, wyrzecze łaskę przebaczenia dla Polski".

Teraz już kaszel chłopów stał się tak gwałtownym, iż, jak gromem huczał nad głowami starszyzny moskiewskiej i rotą sołdatów.

— Co to jest? jak śmiecie przerywać czytanie? zuchwalstwo to jest bez granic. Na karę ich skazać... tak jest na karę,.. za kaszel taki karą.

I oto kara naznaczona. W promieniu 10 wiorst od Garwolina, wszystkie wsie mają zapłacić kontrybucyi 8.000 rubli!

Kontrybucya spada jak pożoga. Nie czeka, nie pyta, nie widzi głodu, nie zna choroby, nie rozumie sieroctwa i biedy, tylko chwyta drapieżca dłonią ostatni grosz.

8.000 rubli zapłacił lud za to, iż przy czytaniu adresu do cara kaszlał...

Ale jak w Warszawie na śpiew ludu idącego z krzyżem, nie kaszel, lecz grad kul się sypał i trupy ścielił... to Moskwa kontrybucyi nie zapłaciła. Lecz przyjdzie kiedyś czas i Petersburg w promieniu wszystkich mogił polskich i lasu szubienic — zapłaci kontrybucyę wielką, ważoną i liczoną nie wyrokiem ludu — lecz Boga!

Jan Świerk.

STANOWCZOŚĆ A ZŁOŚĆ W WYCHOWANIU DZIECI.

Wychowanie dziatek, ciężki to obowiązek dla rodziców, mozolna praca i długoletnie zabiegi. A jednak muszą oni to wychowanie uczynić właściwem, rozumnem i przykładnem, gdyż odpowiadają za te dzieci swoje wobec Boga i ludzi. Mają te dziatki ich bowiem, jako „stworzone na obraz i podobieństwo Boże" Stwórcy swemu chwałę przynosić, a bliźnim swoim pożytek, jako przeznaczone na to, by żyć w społeczności ludzkiej. Synowie i córki, o których rodzice nie dbają, pójdą na bezdroża, staną się wyrzutkami ludzkości, a gorzkim wyrzutem dla rodziców.

Ludzie, których znamy jako uczciwych, prawych i uczynnych, mieli zazwyczaj dobrych rodziców, którzy im prawidłowe dali wychowanie.

Niechaj dziecko prowadzone będzie silną ręką ojca — chowane pod bacznem a troskliwem okiem matki. Niech rodzice wiedzą o każdym jego kroku; bez opowiedzenia się im, niech nie wydala się z domu, gdyż zbyt często może się dostać w złe i zepsute towarzystwo, które zatruje mu młodą duszę i zniszczy w niej dobre ziarno, zasiane tam nauką zacnych rodziców. Nie darmo to mówi przysłowie: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz".

Rzecz to pewna, że dziecko trzeba często napomnieć, połajać, a nieraz i ukarać; bez tego nie wyrośnie na ludzi; ale niech matka każda pamięta o tem, że w żadnym razie, nie trzeba do dzieci przystępować ze złością. To jest tak ważne i tak konieczne, że o tem, przy wychowaniu dzieci zapominać nie można. Inaczej dziecku zrobi krzywdę, mieć będzie grzech na sumieniu, a nie uzyska poprawy, ani dobrego skutku ukarania. Musi ona pamiętać, jak pacierz, tę zasadę: „Nie wolno na dzieci się złościć!"

Rozważmy bowiem co ze złości powstaje:

Osłabia ona wzajemnie przywiązanie między matką a dzieckiem, które przecie nigdy ustawać nie powinno. Matka właśnie ma się o to starać, by ta miłość stale się zachowała, Niech dziecko garnie do siebie, popieści, p o c a ł u j e c h o ć r a z n a d z i e ń; w święto niech się z niemi zabawi, zrobi im jaką przyjemność, posłucha cierpliwie ich opowiadania, posmuci się ich zmartwieniem, a poraduje uciechą — Wtedy dziecko czuć będzie, iż w matce ma najserdeczniejszą przyjaciółkę i najkliwszą opiekunkę. Złość zniweczyłaby te wszystkie dobre uczucia, bo dziecko bite często a ze złością, nie może matki pokochać; póki małe, boi się, ale podrósłszy, zamiast miłości, chowa w sercu złość i chęć zemsty. Czując w sobie siłę a nie mając hamulca, odda złem za złe i na przekór robić będzie to, czego rodzice mu bronią i co ich do gniewu pobudza.

Jeśli dziecko jest wątłe i chorowite, to złość na niego wywarta jest dla niego zgubą. Ciągłe krzyki lub bicie tak je rozdrażni, że wreszcie samo nie wie, co robi; ucieka od matki trzęsie się, płacze, a w końcu może zupełnie zgłupieć.

Złością zresztą nic się nie osiągnie. Jeśli zbijesz naprzykład złodzieja złapanego na gorącym uczynku, to złodziejstwa wcale go przez to nie oduczysz; na drugi raz będzie się on tylko starał sprytniej kraść, aby nie zostać schwytanym. Jeśli przeklinasz dziecko krnąbrne, to je tylko kląć nauczysz. Ważną

jest tedy rzeczą postępować z dziećmi łagodnie, cicho i spokojnie.

Chociaż jest to czasem bardzo trudnem, trzeba do tego przywyknąć, a niczego nie robić za pierwszym popędem.

Oto weźmy naprzykład taki przypadek: Gdy usłuszycie między dziećmi hałas, krzyk, poznajecie, że któreś z nich zawiniło i już wam nieraz złość płomieniem na twarz wybucha, wtedy, broń Boże, nie biegnijcie do nich, ale westchnijcie: „Boże, daj mi łaskę, abym dziecku krzywdy nie uczyniła!“

To wam zaraz da opamiętanie, złość was porzuci, i spokojnie pójdziecie pogodzić zwaśnionych. Sama wasza poważna postawa i cichy, łagodny głos, zmusi już dzieci do uciszenia się. Wtedy wysluchajcie cierpliwie, co wam powiedzą, a gdy rozpatrzywszy rzecz uznacie, iż któreś z nich jest winne, napomnijcie je rozsądnie, a jeśli trzeba ukarzcie, ale łagodnie i sprawiedliwie. Dziecko zrozumie, iż na karę zasłużyło, ale złości się nie nauczy, a starać się będzie nadal poprawić. Tylko tak wymierzona kara przynosi dobre skutki.

Więc nie złość, ale stanowczość potrzebna w wychowaniu.

Dzieci są takiemi, jakiemi je stworzy wychowanie, czy w domu, czy też w szkole, a jakiemi one zostaną, takiemi będzie przyszłość ich i narodu. Wszak z tych dziatek powstaną kiedyś rodziny, gminy i państwa. Nie zapominajcie o tem, wychowując to młode pokolenie.

Z ŻYCIA MRÓWEK.

Mrówki znajdują się w każdym lesie, w każdym ogrodzie. Żyją one wielkiemi gromadami, złożonemi z kilkunastu tysięcy owadów w mrowiskach, które sobie urządzają w ziemi, pniach drzewnych, starych murach i tym podobnych miejscach.

Do napospolitszych i najbardziej znanych, należą mrowiska, mające kształt mniejszych lub większych kopczyków z ziemi, pomieszanej z igłami drzew szyszkowych, zdziebełkami traw, żwirem.

Pod takim kopczykiem znajduje się mieszkanie mrówek, złożone z mnóstwa korytarzy i komór, a ciągnące się takie i głębiej w ziemi tak, że jeżeli rozrzucimy kopczyk, to nie zniszczymy jeszcze całego mrowiska, lecz tylko tą jego część, która się znajduje w samym kopczyku; wszystkie zaś korytarze i komory położone niżej pozostaną nieuszkodzone.

Nie wszystkie zresztą mrówki sypią kopczyki. Niektóre urządzają sobie całe mieszkanie w ziemi i o obecności jego można sądzić jedynie z małych otworków, przez które co chwila wchodzą i wychodzą drobne jego mieszkańki. Jeszcze inne wygryzają sobie korytarze i komory w pniach drzewnych lub starych murach.

Słowem, mrówki obierają sobie rozmaite miejsca na mieszkanie, nigdy jednak nie zajmują ich samotnie, lecz zawsze trzymają się wielkiemi gromadami, i zawsze urządzają je tak, że mają bezpieczne schronienie w czasie słot jesiennych i mrozów zimowych.

Gdy zajrzymy do wnętrza mieszkania mrówek, czy to w kopczyku ziemnym czy w pniu drzewa, nie możemy oprzeć się zdumieniu na widok tego mnóstwa korytarzy i komór mieszkalnych, po których uwija się moc drobnych czarnych owadów. Przecież wszystko to zrobiły malutkie stworzenia, które może depczemy nogą, nie dostrzegając ich nawet. A zrobiły to jedynie dzięki temu, że są nadzwyczaj zgodne i czynne, że umieją pracować wytrwale i pomagać sobie nawzajem.

Przypatrzmy się tylko zwykłym zajęciom mrówek: żadna z nich ani chwili nie spocznie, ani chwili nie pozostaje bezczynną. Wszystkie snują się bez przerwy w okolicach mrowiska: jedne dążą luzem po żywność, inne wracają do mieszkania obładowane zapasami pokarmu lub materyałem budowlanym. Ta ciągnie jakiegoś martwego owada, inna zdziebełko słomy owa pcha grudkę ziemi. A skoro która natrafi na jakiś ciężar zbyt wielki dla niej, biegnie wnet do towarzyszek i prosi je o pomoc, trącając różkami. Wszystkie śpieszą w tę stronę i wspólnemi siłami z łatwością dokonywują tego, co dla jednej byłoby niemożliwem.

To właśnie wzajemne pomaganie sobie daje siłę mrówkom, pozwala im wykonać te wszystkie prace, które wzbudzają w nas słuszny podziw. Małe i drobne, mają one jednak podołać takim ciężarom, na które na próżno porywałyby się znacznie większe owady, ale żyjące samotnie, nie towarzysko.

Tę siłę wspólnej a zgodnej pracy pięknie wyraził poeta nasz, Wincenty Pol w następującym wierszu, w którym wypowiada myśl, że istoty małe i słabe, same przez się, nic nie znaczą, łącząc się jednak razem, mogą tworzyć wielkie rzeczy:

A między małem bywa sojusz wierny,
To i Bóg temu bywa miłosierny.
I mrówka mała, a cały świat schodzi;
I pszczółka mała, a życie nam słodzi;
I ziarnko zboża małe, a świat żywi;
I piasek mały, a skała cię dziwi;
I kropla mała, a co wody w stoku;
A z wód niewielkich, to morze bezdenne.

Mrówki, zamieszkujące jedno mrowisko, nie wszystkie są jednakowe: znajdują się wśród nich tak samo, jak w roju pszczelim, robotnice, trutnie i matki czyli królowe — a wszystkie one różnią się między sobą postacią.

Wprawdzie dla ludzi, którzy nigdy nie przyglądali się baczniej mrówkom, wszystkie one są jednakowe i podobne do siebie, wszystkie są małe, czarne lub brunatnawe i bezskrzydłe. W rzeczywistości jednak tak nie jest.

Te małe bezskrzydłe owady, które wszyscy znamy, jako mrówki, są to robotnice, królowe i trutnie mają skrzydła i są większe od robotnic. Nie można się jednak dziwić, że pomimo większego wzrostu i skrzydeł są mniej znane, od nie tak okazałych robotnic, widywać je bowiem można tylko w pewnych porach roku, ukazują się mianowicie dopiero w połowie lata lub ku jego końcowi i wówczas unoszą się w powietrzu nieraz całemi rojami, ku wielkiemu zdumieniu ludzi nieświadomych, którzy je biorą za jakiś osobny gatunek mrówek skrzydlatych.

W czasie tych wzlotów w powietrze następuje parzenie się królowych z trutniami, poczem zapłodnione owady spadają na ziemię. Tam robotnice zabierają królowe i prowadzą je do mrowiska, odgryzają im skrzydła, które zawadzałyby jedynie w ciasnych korytarzach. Odtąd królowa nie opuszcza już wcale gniazda i pozostaje w nim do końca życia: nie zajmuje się jednak żadnemi pracami, lecz znosi jedynie jajka, tak samo jak królowa pszczół. Ale gdy pszczoły mają tylko jedną matkę, u mrówek bywa ich kilkanaście i więcej. Trutni natomiast mrówki nie wpuszczają wcale do swych gniazd. Latają one jakiś czas na wolności, aż dopóki nie zginą, albo nie staną się pastwą ptaków owadożerczych.

Z jajek, złożonych przez królowę, lęgną się beznogie czerwie tak samo, jak u pszczół. Mrówki robocze opiekują się niemi i karmią je równie starannie, jak pszczoły swoje. Po pewnym czasie czerwie przestają jeść, wysnuwają z siebie nitkę pajęczyny i owijają się w nią całe, przybierają postać podługowatych żółtawo białych ziarenek.

Ziarenka te noszą pospolicie nazwę „jajek mrówczych". Jest to jednak całkiem niesłuszna nazwa: niemożliwą nawet byłoby rzeczą, żeby tak mały owad, jak mrówka, mógł znosić tak duże jaja, większe od niej samej. Te niby „jajka" są to w rzeczywistości czerwice mrówek, otoczone oprzędem czyli tak zwane poczwarki. Prawdziwe jajka, składane przez królowę są bardzo maleńkie, pozostają zawsze w mrowniku i nigdy nie bywają wynoszone stamtąd.

Poczwarki zaś możesz zobaczyć bardzo często. Lęgną się z nich po pewnym czasie dorosłe owady — królowe, robotnice i trutnie; ale żeby to mogło pomyślnie nastąpić, potrzebne jest koniecznie ciepło. Dla tego to robotnice wynoszą poczwarki z mrowiska na słońce, ilekroć dzień jest pogodny; zabierają śpiesznie z powrotem w razie jakiego niebezpieczeństwa lub słoty, bardzo szkodliwej dla poczwarek.

Łatwo sobie wyobrazić, ile to robotnice mają pracy i kłopotu z tem nieustannem noszeniem poczwarek, które są przecież większe od nich samych! Wogóle mają one dość zajęcia i nigdy nie próżnują.

Znoszenie żywności, karmienie czerwi, opiekowanie się poczwarkami, naprawianie uszkodzeń w mrowniku — wszystko to wymaga nadzwyczaj starannej pracy, a także wielkiej zmyślności. Ale też mrówki należą do najzmyślniejszych owadów: pamiętają one znakomicie drogę do miejsca, gdzie znalazły obfitą żywność, umieją porozumiewać się między sobą i dawać sobie radę w wielu wypadkach.

Dla wszelkiej pracy — ludzkiej czy zwierzęcej — należy się szacunek. Nie powinniśmy więc nigdy bezmyślnie rozrzucać kopców mrówek ani wogóle niszczyć ich gniazd, chyba iż urządzają nam one wyraźne szkody. O tem zaś, czy mrówki wogóle są dla nas szkodliwe czy pożyteczne, pomówimy w następnym artykuliku.

Tutaj dodamy jeszcze tylko tyle, że owady te czynne są jedynie od wiosny do jesieni w czasie ciepłej pory roku. Ze zbliżeniem się zimy, przenoszą się one do głębiej poło-

żonych, niższych pięter mrowiska i tam zapadają w odrętwienie, leżąc tak bez ruchu i pożywienia aż do wiosny. Takie kilkomiesięczne odrętwienie nazywamy snem zimowym.

Zapasów na zimę nie gromadzą, tak jak pszczoły. Jest to więc bardzo szczęśliwem dla nich, że mogą odrętwieć na tę surową porę roku i przespać ją całą bez trosk i kłopotów. *B. Dyakowski.*

WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Stanisław Wyspiański. We czwartek dnia 28 listopada b. r., o godz. 5 po południu, umarł w Krakowie Stanisław Wyspiański.

Umarł największy polski poeta doby współczesnej, jeden z największych polskich duchów twórczych wogóle.

W orszaku mocarzy natchnień narodowych — pozostanie na zawsze w blasku i świetności imię Wyspiańskiego, którego duch wieszczy i proroczy dotąd niezgłębiony, olbrzymieć będzie wśród potomnych, jako znak dziejowego w duszy narodu przełomu.

Dopiero potomność zdolna będzie ocenić należycie ten zgasły geniusz polski, tę przerwaną nić twórczości, która sił do lotu szukała w skarbach minionej chwały narodowej — na równi, jak w skarbach współczesnych, niczem niezmożonej mocy ludu polskiego.

Wielki duch gościł w słabem ciele. Przez lata całe walczył Wyspiański z chorobą, straszną i wyniszczającą. Do ostatniej jednak chwili, duch wieszcza nie upadł, do ostatniej chwili Wyspiański tworzył.

Śmierć porwała go w 38-ym zaledwie roku życia.

Krzyżacki rozbój. Stoimy wobec okropnego, niesłychanego w dziejach, dzikiego zamachu na przyrodzone prawa naszego narodu w zaborze pruskim. Tylko dlatego, że jesteśmy słabsi, rzucają się na nas, z krwiożerczością dzikich zwierząt, reprezentanci rządu pruskiego.

Jest rzeczą niesłychaną, aby mąż stanu kanclerz potężnego państwa europejskiego, miał odwagę na trybunie parlamentarnej zdeptać najwznioślejsze ideały ludzkości, sponiewierać te hasła, w których obronie tyle przelano krwi, a które uświęciła i nietykalnemi uczyniła konstytucya wszystkich narodów i krajów.

Nie prawo narodu polskiego zostało brutalnie zdeptane przez ks. Bülowa i rząd pruski, ale prawo ludzkości całej, prawo do życia i działania zbiorowości narodowej i jednostki — człowieka.

Ks. Bülow rzucił obelgę całej cywilizacyi, całej ludzkości, która ma prawo upomnieć się o swoją własność, o to co wywalczyła i okupiła potokami krwi, wysiłkami całych pokoleń i najszlachetniejszych swoich przedstawicieli. Milionowy lud wyrzucać się ma z jego prastarych sadyb, odebrać mu sposób do życia, możność odzywania się publicznie w ojczystym języku!

Niemcy wstydzić się powinni tej teraźniejszości, — oni, którym przeszłość inne przekazała tradycye, oni, którzy także za wolność tyle ponieśli ofiar. Czy świat cywilizowany upomni się o swoją duchowną własność, po którą sięgła bandycka ręka nad Spreą — zobaczymy Ale my, bezpośrednio zagrożeni, musimy znaleźć wyraz na wyrażenie naszej opinii. Musimy reagować na rozbój, musimy się bronić. Tak źle nie jest, — my nie jesteśmy jeszcze pozbawieni wszystkich środków samoobrony.

A więc najpierw wszystkie reprezentacye polskie, na radzie gminnej, w zapadłej wiosce polskiej — wszystkie instytucye, korporacye i stowarzyszenia, w polskich zostające rękach, powinny podnieść gromki głos protestu przeciw zbrodni, mającej się spełnić na naszym narodzie.

Trzeba raz nazwać po imieniu i nazwisku postępowanie narodu, który, jak żmiję jadowitą, wychowała Polska.

Wytępić ich! Pod tem hasłem odbyło się pierwsze posiedzenie izby posłów sejmu pruskiego. Hasło hakaty: „Śmierć Polakom!“ zaczyna nabierać uchwytnej postaci. Albowiem wbrew wszelkim prawom przyrodzonym, wbrew wszelkim ustawom państwowym, panująca w Prusiech kasta, wymierza policzki kulturze nowoczesnej i depce nogami prawo własności, które sama uważa za główną podwalinę obecnego ustroju społecznego. Depce nogami to prawo uważane przez nią za święte, o ile ono Polakom przysługuje. Chce

z nas zrobić helotów i niewolników. Książe Bülow przez usłużne sobie gazety obwieścił światu, że zada cios śmiertelny Polakom. Mordercze narzędzie, które miał utopić w piersi naszej, chował do ostatniej chwili, bo zakazał w biurze sejmu wydawać wcześniej projekt ustawy o wywłaszczeniu.

Na wyraźny rozkaz jego rozdzielono projekt barbarzyńskiego prawa dopiero po ukończeniu jego mowy. Dobrej sprawiedliwej rzeczy nikt nie ukrywa.

Zapowiedział więc światu, że ostatnia rozegra się walka z Polakami. Izba posłów przypominała też prawdziwie cyrk starorzymski. Pustkami zazwyczaj świecące trybuny parlamentu bezprawia i niesprawiedliwości zaroiły się we wtorek od publiczności. Wszystkie miejsca zajęte. Opaśli Niemcy ze wszystkich sfer, Niemki niezgrabne przyszły paść oczy swe ofiarą, którą gwałt rządu panującego ma pognębić. Co za rozkosz dla oczu hakatystycznych

Ławy ministeryalne do ostatniej zajęte a tajnych radców bez liku. Ma się wrażenie, że zjawili się wszyscy podwładni, by dodawać odwagi swemu zwierzchnikowi.

Marszałek Kröcher dzwoni potężnie a gdy zapanowała cisza, wznosi okrzyk na cześć króla pruskiego, podczas którego obecni polscy posłowie ręki do góry nie podnoszą, jak to czynią wszyscy Niemcy. Po odczytaniu zwykłych spraw bieżących udziela marszałek głosu ks. Bülowowi. Uśmiechnięty i pewny siebie, zazwyczaj Bülow ma minę niepewną a rozpoczyna swą mowę cicho, tak że go zaledwie można rozumieć. Mniej mówi a więcej odczytuje ustępy z mów Bismarka, swoich własnych i niezliczone cyfry z memoryału rządowego o działalności komisyi kolonizacyjnej. Wywody ani ciekawe, ani nie nowe. Sejm wysłuchuje ich w milczeniu grobowem. W swych wywodach ks. Bülow wyznaje, że rząd pruski nie da sobie rady w sprawie polskiej i żąda od sejmu środków nadzwyczajnych. Pieniądze już nie wystarczają, żąda prawa dla komisyi kolonizacyjnej, by mogła każdego z Polakow, kogo sobie upatrzy, wyrzucić z zagonu ojczystego. Pfe! pfe! rozlegają się głosy na ławach polskich, niepokój powstaje w szeregach centrowców. Banda wolnomyślnych, która oddała się ciałem i duszą Bülowowi, kryje się milcząc za plecami Polaków, narodowe liberały rządowcy krzyczą sława! Izba ożywia się coraz bardziej podczas drugiej połowy mowy prezesa ministrów a na ławach Polaków coraz częściej wybucha śmiech ironiczny, gdy kanclerz wbrew prawdziwym stosunkom opowiada, jak to Polacy wypędzają Niemców z ziem polskich, jakie prześladowanie muszą znosić „biedni“ niemiaszkowie. Śmiechy nie ustają, gdy kanclerz zapewnia, że „prawo“ nie będzie surowem.

Pod koniec książe Bülow wprost błaga, by sejm to prawo uchwalił, bo inaczej czeka Prusaków bankructwo zupełne w walce z Polakami. Mowę swą kończy Bülow zwykłymi frazesami prusko-patryotycznymi godnego przewodniczącego związku wojackiego. Sykanie, głośne pfe! pfe! rozlega się po stronie Polaków. Brawa sypią się z ust narodowych liberałów i rządowców, co kilka razy się powtarza.

Pamiętnym będzie dzień 26 listopada w dziejach pruskich a kto wie, czy twórcy obydnego prawa tego dnia żałować nie będą.

Ustawa o wywłaszczeniu Polaków pod zaborem pruskim stała się już prawie faktem dokonanym. Hakata pruska nie cofnęła się przed tym barbarzyńskim czynem, byleby tylko osiągnąć nową broń w walce z naszymi rodakami. Osobna komisya sejmowa, przeznaczona do opracowania tego projektu, ukończyła już w tych dniach swą działalność i przedłożyła ją parlamentowi pod uchwałę, która też zapadła na niekorzyść naszą. Rząd pruski zdobył się więc na ten krok niekulturalny, gwałcący wszelkie prawa; nie liczył się on z opinią całego świata, potępiającą głośno te postępowanie

Na ten cel wywłaszczenia przeznaczono znowu 500 milionów marek, zgodzono się na razie na 200 milionów. Jest to już ogromna suma pieniędzy, z pomocą której komisya kolonizacyjna wydrze olbrzymi obszar ziemi ojczystej, zamieszkanej od wieków przez naszych braci. Nie poprzestano jeszcze na tem do projektu tego dodano jeszcze drugi, mający czemprędzej wymazać imie polskie w granicach państwa niemieckiego. Uchwalono, że wywłaszczonym nie wolno w żaden sposób emigrować do miast, celem szukania zarobku bądźto we fabrykach lub innych zakładach przemysłowych. Przez takie więc postępowanie, zabraniające nawet pracować uczciwie na utrzymanie swoje, będą zmuszeni Polacy z pod zaboru pruskiego, opuszczać kraj i przenosić się do Królestwa, do Galicyi lub do innych krajów. I takie zbrodnie

popełnia się na narodzie polskim w wieku dwudziestym, w państwie, które śmie grozić światu, że przoduje mu w cywilizacyi i kulturze. My Polacy, chociaż nie posiadamy odrębności politycznej, nie przestaliśmy być jednem ciałem. Krzywda jaka spotkała braci naszych z Poznańskiego, powinna nas obejść żywo. Powinniśmy więc na te brutalne zamachy, hakaty odpowiedzieć w sposób godny, tak, aby przekonali się Niemcy, że jesteśmy siłą, z którą się należy liczyć. Przedewszystkiem powinniśmy wyrażać głośno nasze protesty, celem pokazania całemu światu, że niepozostajemy bezczynnymi my, którzy znajdujemy się w lepszych warunkach politycznych niż rodacy w Niemczech. Celem więc wyrażenia takiego protestu powinna każda gmina, każda wieś, zwołać zgromadzenie, na którem wszyscy zebrani powinni wyrażać swoje oburzenie w formie piśmiennej, opatrzyć je swemi podpisami i przesłać do Redakcyi naszej, skąd wyśle się je do posłów polskich w parlamencie pruskim lub austryackim.

Na takie zgromadzenie powinien się każdy stawić czy robotnik, czy włościanin, gdyż jest to sprawa obchodząca całe społeczeństwo polskie.

Drugim środkiem do walki z Niemcami, jest bojkot towarów pruskich, a więc nie kupowanie wszystkiego co niemieckie. Zbliżają się teraz święta Bożego Narodzenia, każdy więc ma jakieś niezbędne sprawunki do załatwienia. Niech więc zrobi silne postanowienie nie brania wyrobów niemieckich, niech wszelkiemi siłami popiera przemysł krajowy, gdyż tylko przez takie postępowanie możemy się dać we znaki Niemcom.

W wielu już głównych miastach naszej dawnej Polski odbyły się wiece w tej sprawie, na niektórych zapadły różne uchwały; w tych podajemy najważniejsze, a to w tym celu, aby też gminy na swoich zebraniach przyjęły te same postanowienia. W Krakowie zgromadzenie obywateli wszelkich stanów powzięli następujące uchwały:

1. Uznajemy wniesione przez rząd pruski projekty wywłaszczenia posiadłości polskich, ograniczenia praw języka ojczystego za akt barbarzyński, niegodny narodu cywilizowanego, urągający kardynalnym zasadom wszelkiego prawa, etyki i kultury.

2. Ponieważ przez taki akt naruszone zostają nietylko prawa przyrodzone naszego narodu, lecz także prawa ogólno-ludzkie, których przestrzeganie jest obowiązkiem każdego narodu cywilizowanego, przeto uznajemy za konieczne wezwać wszystkich reprezentantów naszego kraju w ciałach prawodawczych, aby dla udaremnienia tego gwałtu użyli wszelkich sił i środków, a jeśli ich usiłowanio nie odniosą skutku, aby dążyli do zerwania sojuszu Monarchii z państwem, nie umiejącem uszanować praw przyrodzonych człowieka.

3. W chwili grożącego niebezpieczeństwa naszemu narodowi, wzywamy całe społeczeństwo polskie do samoobrony przez zjednoczenie wszystkich sił duchowych i ekonomicznych narodu, celem ubezwładnienia przewagi siły nad prawem.

4. Wyrażając oburzenie autorom takich nieludzkich projektów, ślemy naszej braci zagrożonej pod zaborem pruskim najserdeczniejsze wyrazy głęboko odczutego współczucia, z zapewnieniem pomocy w każdej potrzebie.

5. Wyrażamy uznanie reprezentacyi naszej w parlamencie austryackim za męski protest wniesiony przeciwko temu pogwałceniu praw ludzkich.

6. Przesyłamy hołd najszczerszej wdzięczności przedstawicielom innych narodów, którzy w parlamencie austryackim również protestując przeciw zamierzonemu gwałtowi, wyrazili głośno swe oburzenie i podnieśli wysoko sztandar sprawiedliwości.

Dalej postanawia stworzyć osobne towarzystwo, celem obroy interesów polskich na kresach, pod nazwą „Straży polskiej", następnie uchwalono zażądać od sejmu:

1. zniesienie języka niemieckiego jako urzędowego w Galicyi, a zaprowadzić język polski w miejsce niego.

2. zmienienie kilkudziesięciu nazw niemiech wsi polskich w Galicyi i zastąpić je polskiemi;

3. zaprowadzić we wszystkich szkołach obowiązkowy język polski i zabronić rodzicom polskim posyłaniu swych dzieci do szkół niemieckich pod groźbą współwiny w germanizacyi.

Tow. „Etos" w Krakowie podało wniosek, aby władze miejskie wydały rozporządzenie zamykania szynków w niedziele i święta i zwraca się do wszystkich, aby tą sprawę goraco popierali i na swoich wiecach taką rezolucyę uchwalali.

Redaktor „Dźwigni" we Lwowie p. Zygm. Korosteński postawił wniosek następujący:

Wiec w sprawie obrony kresów uznając należyte zorganizowanie: przemysłowców, rękodzielników, kupców i robotników polskich na Szląsku za bardzo ważny czynnik, w tej obronie wzywa pokrewne zawody w Galicyi do bratniego współdziałania i rządu, aby zamierzone w Galicyi prywatne związki przemysłowe i kupieckie objętej zakresem działania także Ślsk z zastrzeżeniem samorządu dla oddziałów śląskich albo też obmyśliły inne sposoby wzajenmnego współdziałania.

Bogumin-dworzec.

(Ciąg dalszy).

Po południu o godz. 5 odbył się wiec kobiet śląskich. Przewodniczącą wiecu wybrano p. Sykałową, zastępczynią p. Szuścikową, a sekretarką p. Batorównę. Wiec zagaiła p. Wolińska, przedstawiając konieczność ścisłej łączności pracy kobiet śląskich z pracą narodową mężczyzn. Słowa prelegentki przyjęto oklaskami. Następnie, p. Kermel, przedstawił ciężkie warunki pracy narodowej; po nim przemawiali jeszcze pp. Dymek i Magiera, na którego wniosek zgromadzenie uchwaliło następujące rezolucye:

1. Wszystkie obecne niewiasty ślubują brać czynny udział w każdej pracy narodowej, w szerzeniu oświaty narodowej.

2. Wychowywać dzieci w duchu narodowym na przyszłych dzielnych obywateli kraju.

3. Bronić mowy ojczystej i praw narodowykh.

4. Postanawiają zapisywać się na członków Kół miejscowych T. S. L. na Śląsku, a zwłaszcza tworzyć przy nich sekcye celem korzystania z bibliotek, czytelń i uczęszczania na zebrania, odczyty, pogadanki, uroczystości narodowe.

5. Posyłać dzieci do polskich szkół, wszczepiać w nich miłość do dzejów narodu, ziemi naszej i wszystkiego, co polskie.

6. Pracować wytrwale, nie zrażając się przeciwnościami.

Następujące zaś rezolucye uchwalono na wniosek p. Kremela:

1. Wiec kobiet polskich, zwołanych do Bogumina w dniu 10 listopada 1907 r., domaga się energicznie uzupełnienia szkolnictwa polskiego zawodowego, średniego, jakoteż ludowego i w tym celu wyraża życzenie, aby w jak najbliższym czasie założono szkołę gospodarczą żeńską w Cieszynie, szkołę przemysłową w Boguminie oraz szkołę górniczą w Karwinie.

2. Wiec kobiet polskich protestuje jak najenergiczniej przeciwko przeniesieniu seminaryum nauczycielskiego polskiego z Cieszyna do której z najbliższych miejscowości Śląska, a zarazem zwraca się do reprezentacyi polskiej w parlamencie wiedeńskim. żeby do tego popełnienia gwałtu narodowego żadną miarą nie dopuściła.

3. Celem niesienia stałej pomocy Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego, aby ta należycie bronić mogła kresów Śląska, należy we wszystkich miastach i miasteczkach i wsiach zorganizować Komitety, które zajęłyby się sprawą opodatkowania każego Polaka-Ślązaka.

Poleca się Komitetowi bogumińskiemu utworzenie dla Bogumina i okolicy straży kresosowej, któraby bacznem okiem śledziła każdy ruch antypolski Niemców i Czechów i ogłaszała w gazetach polskich wszystkie zamachy na nasz byt narodowy.

Biskupice, d. 4. grudnia 1907 r.

Jak Kraków i prawie cały naród polski opłakiwał w tych dniach męża zasłużonego ś. p. St. Wyspiańskiego, tak i nasza parafia podobną stratę w tych dniach obchodziła.

Nie był to jednakże mąż uczony, któremu pragnę te pare słów poświęcić. Był to cichy pracownik na niwie ojczystej, co zasłużył sobie na to, żeby czytelnicy i czytelniczki „Przodownicy“, czytając to wspomnienie, westchnęli do Boga za nim i brali wzór z niego w tych trudnych czasach, gdzie tak ciężko na wsi spotkać człowieka, żeby poświęcał coś dla drugich nietylko dla siebie.

Tym mężem zacnym i wielce zasłużonym był ś. p. Franciszek Król, rolnik-gospodarz w Biskupicach. Był to człowiek uświadomiony, o którym można powiedzieć, że był dobrym ojcem, dobrym mężem, dobrym parafianinem, dobrym sąsiadem, a przedewszystkiem dobrym synem i obywatelem Polski; czytając wiele gazet i książek nie poprzestawał na tem, lecz działał. Założył bowiem wespół z hr. Miroszewskim najpierw „Kółko Rolnicze“ i Czytelnię „Polską“, a później „Kasę Raiffeisena“, istne dobrodziejstwo dla tutejszej nie bogatej okolicy. Jeszcze nosił się podobno z zamiarem założenia „Spółki Mleczarskiej“, ale tymczasem przestał włodarzyć. Dlatego też pa-

rafia uczciła go pięknym pogrzebem ze łzami w oczach.

I z pewnością nie prędko zgaśnie pamięć w sercach naszych o ś. p. Fr. Królu. Kreślę tę parę wyrazów, proszę wszystkich czytelników i czytelniczki „Przodownicy“, by wstępowali w ślady ś. p. Fr. Króla, w pracy nad dobrem kraju.

Pomagajmy co sił, ile możności naszym przewodnikom, którzy niosą przed nami oświaty kaganiec, którzy zwołują wiece i pracują z wysiłkiem nad nami, podczas, gdy ci, dla których ta praca jest przeznaczona, nie chcą ich zrozumieć, i jeszcze im złośliwie przeszkadzają.

Któż im zapłaci za te trudy, co ponoszą dla sprawy naszej? Chyba Bóg, i może kiedyś potomstwo nasze wypisze ich imiona złotemi literami obok imion bohaterów, walczących o niepodległość Polski.

A więc cześć im za to! Cześć paniom T. S. L. Cześć za pracę i trudy naszej pani redaktorce „Przodownicy“, od wszystich wieśniaczek przebudzonych, i tych co jeszcze w uśpieniu.

Na dowód tego niech każda z nas stara się zjednać choć jedną nową prenumeratorkę na przyszły rok dla „Przodownicy“.

Będzie to najmilszym podarkiem gwiazdkowym dla naszej redaktorki.

Kończąc tę wyrazy, zasyłam Czytelniczkem Życzenia Wesołych Świąt i kreślę się z poważaniem:

Marya Janikówna
Wieśniaczka-czytelniczka „Przodownicy“
w powiecie wielickim.

Miłosierdzie.

— Co to za krzyki były u was w nocy, Walenty?

— A to złapaliśmy złodzieja, ale przez dobre serce, tośmy go nie oddali do gminy, jeno przełamaliśmy mu rękę i wybili oko; a potem poszedł sobie z Bogiem wolny, gdzie chciał.

Po żydowsku.

Wojtek: A przecie ta krowa coście ją, Mosiek sprzedali, na oba oczy nie widzi...

Mosiek: Ny, a po co jej to patrzenie? Od patrzenie się nie nauczy. A wam jeszcze lepiej, bo jak dacie jej żreć słomę, to ona się nie dopatrzy, i będzie myślała, że to owies...

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Przezimowanie gęsi do chowu. Gęsi do chowu można, jak wiadomo, trzymać lat kilkanaście; nawet lepsze są na ten cel gęsi starsze, gdyż więcej jaj znoszą i lepiej je wysiadują. Należy tylko od czasu do czasu postarać się o gąsiora z innego stada — nazywa się to odświeżaniem krwi. Nowego gąsiora należy sprowadzić wcześnie, aby gęsi przyzwyczaiły się do niego, zanim nieść się zaczną; w przeciwnym razie jest niebezpieczeństwo, że gęsi gryzłyby nowego gąsiora, a jaja niosłyby niezapłodnione.

Gęsi, przeznaczonych do chowu, nie należy żywić zbyt obficie, gdyż przez to się stają leniwe, zaczynają się nieść o wiele później i znoszą jaja w miękkiej skorupie. Najlepiej wypuszczać je codziennie na dwór, bez względu na stan powietrza. Jeżeli niema śniegu, wychodzą gęsi chętnie na pastwisko, szukając zeschłej i zmarzłej trawy, którą chciwie zjadają. Gdy śnieg wszystko okryje, albo też mroźne nastaną wiatry, wtedy wystarczy gęsiom jakakolwiek szopa do ochrony. Tam można im porzucać marchew, ćwikłę i t. p. Wieczorem dopiero dać trochę owsa lub kukurydzy, ale nigdy tyle, aby gęsi tłuszcz osadzać zaczęły.

W końcu stycznia lub w początku lutego nastaje czas parzenia gęsi. Wtedy należy zwracać baczną uwagę na gąsiora. Jeżeli jest spokojny, nie rzuca się na gęsi i zwierzęta, nie depcze gęsi, wtedy co rychlej trzeba się postarać o innego gąsiora, gdyż inaczej jaja nie będą zapłodnione. Gdy gęś zaczyna poszukiwać źdźbeł słomy i obnosi je w dzióbie, gdy nie chce jeść ziarna, tylko szuka trawy, jest to znakiem, że zaczyna się nieść; zazwyczaj też po dwóch lub trzech dniach pierwsze jaja zniesie. Należy wtedy baczyć, aby gęsi nie płoszono ani nie straszono niepotrzebnie. Gdy zniesie 10—12 jaj, a siedzieć jeszcze nie chce, trzeba jaja dać do wylężenia bądź innej gęsi, która już zdradzała chęć siedzenia, bądź indyczce. Z jaj gęsich bowiem zapłodnie obumiera po trzech lub czterech tygodniach, więc hodowca, podkładający do lężenia stare jaja, sam sobie jest winien, gdy potem 2 lub 3 gąsięta z gniazda wyjdą.

Bez piasku w zimie bieda kurom i innym ptakom domowym. Wiadomo, że ptaki mając zębów, pokarmu żuć nie mogą. Rolę zębów obejmują tu drobne kamyczki, które ptak połyka i one to jak kamienie młyńskie ścierają na miazgę wszystek pokarm znajdujący się w żołądku. To zaś tarcie jest tak silne, że w odchodach ptasich niema ani śladu z owych kamyczków przez ptaka połkniętych. W porze ciepłej nie zachodzi potrzeba troskania się o piasek dla kur, lecz gdy nastaną śniegi lub ziemia zmarznie, to kura nic już nie udzióbie. By drobiowi przyjść z pomocą, należy już teraz postarać się o jednę lub parę taczek gruboziarnistego piasku, który trzeba gdzieś pod dachem przykryć liśćmi, by nie zamókł i nie zamarzł.

Grzebień u kur bieleje niekiedy, a choroba rozszerza się z czasem po całej głowie i szyi. Przy bliższem badaniu przedstawia się grzebień tak jakby był obsypany białawym pyłkiem. Celem zniszczenia tego pasożyta, trzeba grzebień obmywać letnią wodą i mydłem, a posługiwać się do tego szczoteczką lub szmatką. Po osuszeniu trzeba smarować grzebień oliwą lub innem tłuszczem, do którego należy dodać parę kropel kwasu karbolowego.

By się kury niosły w zimie. W Anglii, w porze zimowej, są świeże jaja bardzo poszukiwane i drogo płacone, korzystają z tego hodowcy drobiu, więc nie szczędzą starań, smakoszom nabywanie takich jaj ułatwić. By jednak kury zmusić do niesienia, posługują się jednak bardzo pojedyńczym sposobem. Oto na podłodze w kurnikach układają oni warstwę świeżego nawozu bydlęcego, około 25 cm. grubą. Nawóz wydziela ciepło i to pobudza kury do niesienia się. Jeszcze lepiej będzie urządzić w krowiarni dość obszerną klatkę z łat, a w niej ustawić grzędy i gniazda.

Wychów młodzieży u bydła. „Czego zaniedbasz w pierwszym roku życia u bydlęcia, nie wynagrodzisz mu w drugim ani też kiedykolwiek później“, — tak mówi stara hodowlana reguła.

Tak też i jest. Przy wychowie młodzieży bydlęcej, najważniejsze są pierwsze dziesięć miesięcy wieku. Wtedy trzeba tę młodzież karmić najodpowiedniej i najobficiej. Taką karmą są: mleko odtłuszczone, siemię i makuchy lniane, owies, otręby i przytem wyborowe siano. Na takiej karmie młodzież wyrasta i rozwija się dobrze. Od dziewięciu do ośmnastu miesięcy wieku można już mniej pożywnie karmić, jednakże trzeba do zwykłej karmy dodawać makuchów lub dobrej koniczyny. Później można zaniechać kosztowniejszej paszy i zastąpić ją tańszą.

Od przestrzegania tej reguły zależy, czy koszt wychowu się opłaci a zarazem, czy przytem rozwój młodzieży będzie odpowiedni.

W tych pierwszych miesącach życia bydlęcia na karmie oszczędzać nie można. Czego zaniedbamy w tym okresie, tego nie wynagrodzimy w rozwoju i wzroście bydlęcia nigdy, albo bardzo niedostatecznie i z wielką trudnością, koszta wychowu zaś nie zwrócą się nigdy.

Bogate żywienie młodzieży w początkach ich rozwoju nie wywiera żadnego ujemnego wpływu na przyszłą mleczność zwierzęcia, natomiast zabezpiecza trwałe i najlepsze zużytkowanie karmy. Przeciwnie zwierzętom niedostatecznie żywionym w pierwszej ich młodości grozi mniejsza lub większa utrata usposobienia do mleczności, a przy lepszem odżywianiu ich w wieku powyżej lat dwu wyrabia się skłonność do opasu. Zapobiedz temu tylko częściowo można przez bardzo silny ruch na pastwisku.

Gruzy starych budowli leżą często lata całe na kupach bezużytecznie, choć mogłyby zostać zużyte na poprawienie gruntów. Widzimy przecież, jak kupy takie w krótkim czasie porastają bujnie chwastami, co najlepszym jest dowodem, że zawierają sporo pierwiastków odżywczych. W samej rzeczy, jeżeli odrzucić kawałki cegieł i kamieni, to gruzy budowlane znakomitym są zasiłkiem dla drzew owocowych pestkowych, winogradu i wogóle wszelkich roślin, które potrzebują dla swego rozwoju dużo wapna. Wyciekanie żywicy z kory drzew pestkowych wskazuje zawsze na brak wapna i w takich razach gruzy przekopane z ziemią naokół drzewa wywrą skutek pożądany. Tak samo z korzyścią można zużyć gruzy (starannie przesiane) dla poprawienia roli w ogrodzie warzywnym, albo na pola koniczynne.

Wrażliwość mleka na zapachy. Mleko pochłania bardzo szybko i łatwo wszelkie wonie i substancye lotne. Wystarczy postawić mleko na kilka godzin w sąsiedztwie jakiejkolwiek substancyi wonnej, by nabrało tegoż samego zapachu. Doświadczenia robione z terpentyną, dymem tytoniowym, asafetidą, kamforą, cebulą i t. p. wykazały, że mleko w ciągu ośmiu godzin przechodzi zupełnie tymi zapachami i zatrzymuje je na czas długi, do 14 dni.

Wiadomo również wszystkim mleczarzom, że jeszcze w wymionach mleko przejść może jakimkolwiek zapachem, na skutek substancyi, spożywanych przez krowy, np lekarstw. Również wiadomo, że i smak mleka jest w ogromnym stopniu zależny od gatunku paszy, jaką karmimy krowy; np. po brukwi (karpielach) mleko będzie posiadało smak bardzo niedobry, z powodu olejków lotnych, zawartych w brukwi.

Wracając do wrażliwości mleka na zapachy, notujemy za „Gazetą mleczarską" ciekawy fakt, podany przez „Bulletin des Halles", a świadczący, że równie silnie działają w tym kierunku także zapachy, wdychane przez krowy.

I tak: 12 krów w pewnej mleczarni przechodziło w pewnej odległości od padłej krowy, idąc co dnia do wodopoju; za każdym razem wdychały przez kilka minut powietrze, zakażone gnijącą padliną. Otóż tych kilka minut wystarczyło nietylko, aby zepsuć zupełnie mleko owych 12 krów, lecz i u wszystkich 80 krów w oborze, z którymi tamte stykały się w czasie podoju. Po usunięciu padliny ów zapach z mleka zniknął natychmiast.

W innym wypadku mleko całej obory, 25 krów, wydzielało woń obrzydliwą. Zaczęto dochodzić przyczyny i wkrótce znaleziono w pobliskich zaroślach, gdzie krowy te często się pasły, zdechłego konia, który tam od dłuższego czasu leżał. Konia zagrzebano i mleko natychmiast odzyskało swój właściwy smak.

Widzimy z tego, że zalecanie przestrzegania możliwie największej czystości w stajniach, dobrej wentylacyi i czystego powietrza jest zupełnie usprawiedliwione.

Z tego też powodu należy uważać, aby po odkażeniu (dezinfekcyi) stajen, np. kwasem karbolowym, nie wprowadzać tam zaraz krów, gdyż wtedy mleko od nich przejdzie zapachem karbolu.

ROZMAITOŚCI.

Ofiara prawa osadniczego. Gospodarz Rebischka z Nowego Klińcza pod Kościerzyną*), powracając z jarmarku, powiesił się i po 6 dniach znaleziono go za Dużym Klińczem w krzakach. Przyczyną tego samobójstwa było, że sprzedał na wiosnę r. b. swoją ojcowiznę. Na 60 morgach zamierzał dom pobudować. Przez 3 miesiące mieszkał w szałasie z desek. Na nic nie przydały się zabiegi o konsens budowlany. Odmówiono mu. To go popchnęło do samobójstwa.

Chłosta w szkole. „Lech" donosi: We czwartek toczył się przed gnieźnieńską Izbą karną proces przeciw nauczycielowi Eberhadrowi z Huty, o przekroczenie prawa chłosty. Oskarżony sam przyznał się, że w ciągu najwyżej kwadransa, jak to prokurator stwierdził, wymierzył 11-sto-letniemu słabowitemu dziewczęciu 18 razów na palec grubą trzciną przez plecy, oraz 8 razów przez ręce, skutkiem czego dziewczę miało według świadectw lekarskich — 17 pręg krwią zaszłych na plecach i krwią nabiegłe plamy na rękach. — Prokurator wniósł o 10 marek, wyraźnie dziesięć marek kary, do czego się sąd przyłączył.

Skazanie księdza. Jak donosi „Geselliger", skazany został ks. Józef Dębieński z Jeżewa w Prusach Zachodnich na 100 marek kary. Rejencya zakazała przez landrata świeckiego ks. Dębieńskiemu, który od dłuższego czasu przygotowywał chłopców do gimnazyum, udzielania lekcyi, ks. D. jednakowoż nie troszczył się o zakaz ten i chłopców dalej uczył.

Zemsta Polaków. „Berliner Tageblatt" dowiaduje się, że w razie, gdyby konserwatyści mieli się zgodzić na projekt wywłaszczenia, urządzony zostanie masowy bojkot wszystkich niemieckich właścicieli ziemskich w Księstwie i Prusach Zachodnich.

Ma się podjąć akcyę, aby powstrzymać napływ robotników polskich w Królestwie i Galicyi do dóbr niemieckich właścicieli w polskich dzielnicach i skierować ich do zachodnich prowincyi niemieckich, do Turyngii, Hanoweru, wreszcie do Bawaryi, a nawet do

*) Pod zaborem Pruskim.

Danii. Agitacya ta ma się rozciągnąć także na robotników rusińskich (?) i węgierskich (pewnie Słowaków). Ponieważ agraryusze niemieccy w polskich dzielnicach bez pomocy przybyszów polskich z Galicyi nie są zdolni obrobić ziemi swej, więc niedopuszczenie do nich tych robotników spowodowałoby ruinę ich gospodarstwa.

Skazanie redaktora. Za obrazę burmistrza p. Partikela w Gdańsku, skazany został redaktor odpowiedzialny „Gazety Gdańskiej“ p. Wilhelm Grimsmann (!) na 100 mrk. kary.

Aresztowania w Warszawie. Od godziny 3-ciej do w pół do 5-tej po południu, policya XIII. cyrkułu, przy pomocy dwóch kompanii wojska, dokonywała licznych rewizyi przechodniów na ulicy Książęcej, Górnej, Wiejskiej, Czerniakowskiej i sąsiednich. Aresztowano ogółem 52 osoby, przeważnie robotników fabryki „Lilpop, Rau i Loewenstein, — Aresztowanych, po stwierdzeniu w XIII tym cyrkule nazwisk, w kilku partyach odprowadzono późnym wieczorem do ratusza.

Podobno aresztowania stoją w związku z niedawnem zabójstwem stójkowego Lewonia przed fabryką na Książęcej.

W nocy z wtorku na środę aresztowano we własnem mieszkaniu p Feliksa Wojciechowskiego, b. studenta uniwersytetu warszawskiego, obecnie współpracownika biura Zarządu Głównego Polskiej Macierzy Szkolnej.

Konieczność zaprowadzenia listonoszów wiejskich. Konieczną i zbawienną rzeczą dla ludu, byłoby, gdyby pozaprowadzano listonoszów wiejskich. Teraz, jakby na wyborne poparcie tej sprawy, opowiemy wypadek, który się zdarzył w pewnym powiecie, niemogący się bezwarunkowo wydarzyć, gdyby byli ustanowieni, z ramienia dyrekcyi poczt, listonosze wiejscy.

Przed kilkunastu dniami przywieziono do szpitala żywieckiego pewnego pisarza gminnego z okolicznej gminy w stanie opilstwa aż do utraty przytomności, tak się nieborak „pan sekretarz“ uraczył bajecznie, że ani ręką ani nogą, ale i o głowie swej dużo nie wiedział. — Po zbadaniu lekarskiem postanowiono „chorego“ w szpitalu zostawić. Przebrano go w odzież szpitalną, a rzeczy miano oddać do składu. Przy przeglądaniu rzeczy w kieszeniach „pana sekretarza“ (rzeczywiście ładny sekretarz), znaleziono całą kilku tygodniową pocztę: przekazy pieniężne, listy, pisma urzędowe ze sąda, starostwa, prokuratoryi, niektóre zapewne nie dla tego oznaczone dopiskiem „pilne“, by im było pilno w kieszeni tego opoja i długo w niej leżały, tylko, by rychło doręczyć.

Całą tak odkrytą pocztę, szpital odesłał do Rady powiatowej.

Zrozumie każdy, co za krzywdę wyrządza taki opój społeczeństwu swej gminy. Ile to ludzi czeka z niecierpliwością na osądzenie sprawy w sądzie, na załatwienie sprawy ze starostwa, ile ludzi oczekuje nieraz o głodzie i chłodzie grosza od swych krewnych z Ameryki, w których mają jedyne poratowanie, z których łaski opędzą biedę niekiedy swą i dzieci, sierot nawet częstokroć.

Czy mogłyby być takie wypadki, gdyby gminy miały listonoszów wiejskich? Niech Bóg uchowa. Nim jednak lud zrozumie ważność tej instytucyi i nim zacznie stanowczo domagać się od dyrekcyi poczt zaprowadzenia listonoszów wiejskich, musi się dbać, by gminy pilnowały, by podobne wypadki, jak z tym opojem, nie miały miejsca.

Wywóz „christbaumów“. Piszą nam: Niemiecki zwyczaj urządzania „christbaumów“ wywołał w granicznych od strony państwa niemieckiego powiatach naszego kraju niezdrowy przemysł wywozu sosenek do Prus. Za nędzną zapłatę, po kilka halerzy za sztukę wożą włościanie już od początku grudnia, corocznie, towar ten we dnie i w nocy, olbrzymiemi wozami i koleją wożą przez granicę handlarzom niemieckim, którzy na tym artykule robią dobre interesy, a nasz kraj uboży się przez chciwość obcych i głupotę swoich — podczas gdy wielkie lasy niemieckie rosną na pociechę wrogów naszych, bo tam na „Christbaumy“ lasów niszczyć nie wolno. Wywóz odbywa się pod okiem władz i organów rządowych bez przeszkody. Jużby najwyższy był czas, aby dotyczące władze wglądnęły w ten handel, w tę frymarkę ostatkami, bośmy przy niej podobni do bankrutów, sprzedających ostatnie kawałki odzieży — i to, niestety, wrogowi, który halerzami płaci, a z naszej golizny cieszy się, w kułak śmieje.

Królestwo Polskie. Zakazane odwiedzanie gubernii lubelskiej i siedleckiej przez zagranicznych missyonarzy katolickich.

Ministeryum spraw wewnętrznych uznało za niestósowne odwiedziny zagranicznych misyonarzy rzymsko-katolickich w guberni lubelskiej i siedleckiej. Rosyjskim instytucyom dyplomatycznym za granicą polecono wobec tego uprzedzić misyonarzy rzymsko-katoli-

ckich, przy wizowaniu paszportów, iż zakazane jest odwiedzanie tych dwu gubernii. Na skutek tego generał gubernator warszawski polecił gubernatorom właściwym przedsięwzięcie odpowiednich środków w celu niedopuszczania pobytu misyonarzy w guberniach lubelskiej i siedleckiej.

Ochrona kobiet w Szwajcaryi. Rada kantonu zurychskiego wydała szereg nowych przywilejów dla ochrony kobiet. I tak, nie wolno odtąd przyjmować do żadnych robót, ani do pracy biurowej dziewcząt poniżej lat 14. Praca dzienna u kobiety nie może przekraczać 8 godzin, tylko do zajęć sklepowych przedłużono ten czas o 2 godziny, jednakże w sobotę, wigilię i święta skróca się o jedną godzinę

Szkoła sztygarów w Dąbrowie na Śląsku austr. Z powodu napływających licznych zgłoszeń i zapytań podajemy, że nauka w szkole trwać będzie dwa lata i będzie ciągłą, to znaczy bez równoczesnej pracy w kopalni. Uczniowie zamiejscowi mogą znaleść pomieszczenie w internacie szkolnym, w którym koszta utrzymania wyniosa około 35 K. miesięcznie. Ubodzy, a pilni uczniowie mogą otrzymać stypendya. zaznaczamy jednak wobec już teraz okazującej się nader wielkiej ilości zgłoszeń, że ze względów pedagogicznych na obecnie rozpoczynający się pierwszy rok nauki, nie będziemy mogli przyjąć więcej jak 20 uczniów, i że posiadający lepsze kwalifikacye będą przedewszystkiem uwzględnieni.

Przygody rozbitków. Przed kilku miesiącami, podczas burzy, rozbił się okręt amerykański „Prussia“ na skalistych brzegach wyspy Staten, obok przylądka Horn na południowym krańcu Ameryki. W ciągu kilku minut bałwany rozniosły szczątki rozbitego okrętu na wszystkie strony. tak, że czasu nawet nie było na spuszczenie ratunkowej łodzi. Część załogi utonęła, reszta zaś w liczbie 7 dopłynęła do lądu. Dokuczało im ogromne zimno. Majtkowie pozbierali wyrzucone falami na brzeg okrętowe szczątki i rozpalili ogień. Morze wyrzucało również na brzeg rozmaite artykuły żywności i narzędzia. Rozbitki zbudowali sobie chatkę i spędzali dni na wyczekiwaniu ratunku. Wreszcie poczęło im braknąć żywności. Groziła im śmerć głodowa. Zbudowali więc w ciągu dni 30 z resztek okrętu łódź i na niej wypłynęli na pełne morze. Po 40-godzinnej żegludze dotarli do bezludnej wyspy „Noworocznej“ i wśród wielkiego niedostatku przebyli na niej 10 dni. Dopiero przepływający obok statek wielorybiczny dojrzał dawane przez rozbitków sygnały, zabrał ich na swój pokład, a następnie odwiózł do Plymouth w Anglii.

Kraj włóczęgów. Według obliczeń francuskiego ministeryum spraw wewnętrznych żyje obecnie we Francyi 200.000 włóczęgów. Czuwa nad niemi mała armia żandarmów w ilości 23.000 ludzi, których obowiązkiem jest strzedz życia i mienia mieszkańców. Prócz tego wykazano, iż w różnych departamentach prosiło 466.000 ludzi bezdomnych o przytułek nocny, podczas gdy w 38.000 gmin we Francyi istnieje tylko 3.000 przytułków. Często nie można także przytrzymanych włóczęgów pakować do kozy, gdyż we wielu gminach niema wcale pomieszczenia na areszt. Z aresztowanych w roku zeszłym włóczęgów trzeba było wypuścić na wolność 20.000: nie można im bowiem było dowieść jakiegoś ścisle określonego przestępstwa.

Wesele w Marokko. Angielka p. Alicya Lowthar, z dziennika swojego, pisywanego w Marokku, ciekawe rzeczy o miejscowych ludziach i obyczajach podaje w „National Review“.

Byłam — pisze — na marokkańskim weselu. Właśnie powinnabym to nazwać inaczej, gdyż w Marokko niema uroczystości weselnych — ceremonia odbywa się wobec notaryusza, załatwiona jest przed pierwszem poznaniem się oblubieńców.

Gdy układy finansowe starszych dojdą do skutku. pan młody wchodzi do domu, gdzie go oczekuje panna młoda, przystrojona odświętnie. Widzi ją wtedy po raz pierwszy. Zamiast cudnej dziewicy, może zobaczyć poczwarę. Winien być przygotowany na różne niespodzianki, lecz go pociesza myśl, że rozwieść się może po roku, a tymczasem znajdować pociechę wśród niewolnic. Przy opuszczeniu domu rodziców panny młodej odbywają się pewne coremonie: towarzyszy jej do domu oblubieńca orszak strojny z muzyką na czele. Panna młoda prowadzona jest w kajdanach. Idzie sama bez drużek. musi mieć głowę spuszczoną i minę pokorą: nie wolno jej brać udziału w wesołości, słowem, są to dla niej chwile tortury; trwające niekiedy też dni kilka, wobec dużych odległości.

W wigilię tej ceremonii odbywa się wręczanie darów — wzorzystych brokatet ał samitów, atłasów, muślinów, zasłon, materyi tak miękkich i cienkich, że można je przesunąć przez pierścionek. Niewolnik wylicza

je wszystkie wobec gości. Panna młoda musi stojąco wysłuchać tej litanii, ani oczu podnieść, ani ust otworzyć jej nie wolno, ani się skarżyć na swój los, ani się nim cieszyć.

Patrzałam na bladą twarzyczkę oblubienicy i żal mi jej było bardzo. Nagle zachwiała się na nogach i runęła zemdlona. Poczęto ją cucić, a gdy wróciła do przytomności, kazano jej stać na nowo i słuchać wyliczenia bogactw, któremi ją obsypywano.

Ogryzanie paznokci u dzieci. Gryzienie paznokci u dzieci uważane jest zwykle, jako złe przyzwyczajenie. To jednak jest czemś więcej. Po największej części jest to znakiem zwyrodnienia i objawia się u dzieci dziedzicznie obciążonych, które posiadają czę to także inne znaki zwyrodnienia, jak zez, jąkanie się, powiększenie migdałków gardlanych i i. Tego rodzaju dzieci są często nerwowe, we śnie spadają, są bojaźliwe i t. d. Ogryzanie paznokci wielce zbliżone jest do cmoktania; dzieci, które przedtem cmoktały palce, zaczynają później ogryzać paznokcie. Przyzwyczajenie to jest szkodliwem dla zdrowia, ponieważ połknięty paznokieć nie bywa strawiony i to staje się przyczyną zaburzeń w trawieniu. Bezustanne ogryzanie paznokci prowadzi też łatwo do zapaleń i ropienia tkanki komorkowej palców. Statystyczne badanie nad rozszerzaniem się manii ogryzania paznokci rozpoczęto najpierw w jednej ze szkół paryskich; oprócz tego niedawno przez lekarza szkolnego w Królewcu Dra Lasera. W Paryżu znaleziono 25 procent takich, którzy ogryzali paznokcie, w szkołach w Królewcu 12 — 25%. Oba rodzaje płci biorą w równej mierze w tem udział; wiek zaś nie stanowi żadnej różnicy. Badania nad rodzicami takich dzieci wykazały, że w wielu przypadkach i rodzice cierpieli na podobną chorobę. Wreszcie przypadków nie dało się jednak stwierdzić, ażeby dzieci ogryzające paznokcie, ze względu na ich zatrudnienia, albo postępowanie różniły się od innych w sposób szkodliwy. Ogryzanie paznokci leczyć trzeba; kary nie mają najmniejszego celu, bo one tylko pogarszają sprawę.

„Gdyby“ w małżeństwie. Małżonkowie mogliby być o wiele szczęśliwsi, niż są w rzeczywistości.

Gdyby się chcieli nauczyć przystosowywać swe wydatki do dochodów, gdyby nie żyli nad stan.

Gdyby nigdy nie opowiadali dobrym przyjaciołom o swoich strapieniach domowych.

Gdyby się starali wzajemnie być tak przyjemnymi, jak w dniach pierwszej ich miłości.

Gdyby każda z osób starała się drugą wspierać i pocieszać.

Gdyby każda z osób uważała na to, że druga jest człowiekiem a nie aniołem.

Gdyby każda z osób starała się więcej czynić, a mniej trochę żądać.

Gdyby mieli mniej jedwabnych ubiorów do wychodzenia, a więcej pojedyńczych i czystych ubiorów domowych.

Gdyby uważali w domu więcej na przyzwoite obyczaje, a mniej popisywali się przed publicznością tkliwymi słowami.

Gdyby oboje raczej w domu urządzali zabawy, a mniej ich oszukali poza domem!

Gdyby oboje mieli na uwadze to, że powinni dla skutecznego wychowania dzieci być dla nich ojcem i matką w prawdziwym znaczeniu!

Wychowanie dzieci — to sztuka! Miłość matczyna jest z pewnością najczystszym uczuciem duszy ludzkiej, a przecież jak często przynosi dziecku ogromną szkodę. Wiele matek zniszczyło swe dzieci fizycznie i moralnie, albo przez zanadto wielkie rozpieszczenie, albo przez wyrobienie w nich zbyt słabego charakteru. Błędem jest sądzić, że miłość matczyna zawsze potrafi znaleść to, co jest najstosowniejszem. Wychowywać dzieci trzeba się uczyć i należy dobrze zrozumieć, jak wychowywać. Dziecko jest dyamentem nieobronionym i dopiero wychowanie dodaje mu należytego blasku.

W razie krwotoku z nosa winien chory trzymać ręce nad głową, przez co naczynia krwionośne ramion kurczą się i krwotok ustaje. Jednocześnie trzeba przyłożyć na twarz chustkę wilgotną. Drugim środkiem jest wstrzykiwanie do nosa wody z solą.

Naukę pływania zaprowadzono w Poznaniu dla dzieci szkół miejskich pod przewodnictwem nauczyciela i nauczycielki, którzy zdali egzamin w tym przedmiocie. Pierwsze próby powiodły się znakomicie. 25 chłopców i 25 dziewcząt rozpoczęło naukę w początku czerwca, a pomimo niepogody nauczyły się dzieci doskonale pływać. W przyszłym roku do nauki dopuszczonych będzie więcej dzieci. — Zarząd szkół naszych w Królestwie i w Galicyi powinienby również zaprowadzić naukę pływania. Jest to znakomita gimnastyka praktyczna. Nasze sokolstwo powinnoby naukę pływania wprowadzić w zakres swego programu.

Instytucya lekarzy szkolnych rozszerza się bardzo w Królestwie Polskiem, skoro po dziś dzień już 16 szkół średnich posiada swego lekarza, 3 nadto dentystę, a 1 nawet okulistę. Z tych lekarzy 10 należy do Rady pedagogicznej swych Zakładów, a 7 udziela uczniom także wskazówek zdrowotnościowych.

Slizgawka szkolna. Rada szkolna okręgowa m. Lwowa, pragnąc młodzieży szkolnej ułatwić korzystanie z tak zdrowego sportu, jakim jest ślizgawka, postanowiła urządzić na zimę tegoroczną odpowiedni tor dla wszystkich szkół miejscowych; zanim atoli stosowne miejsce wybrane zostanie, urządzoną będzie ślizgawka próbna przy szkole żeńskiej im. Sobieskiego, gdzie jest na to dość miejsca, a koszta urządzenia — wedle obliczeń miejskiego urzędu budowniczego — zaledwie 500 koron wyniosą.

Sprawozdanie Instytucyi humanitarnej „Kropla mleka" (odznaczonej złotym medalem na Wystawie przyrodniczo lekarskiej i hygienicznej we Lwowie) za rok administracyjny od dnia 1 lipca 1906 r. do dnia 30 czerwca 1907 roku.

„Zakład „Kropla mleka" otwarty w dniu 9 lipca 1905 jest instytucyą ściśle humanitarną o charakterze samoistnym pozostającą pod opieką J. O. Księżnej Teresy Lubomirskiej.

Obowiązki kierownika lekarskiego pełni Dr Tadeusz Żeleński.

Czynnościami administracyjnemi kieruje p. Józef Onyszkiewicz, obaj bezinteresownie.

Podobnie, jak poprzednio tak i w tym roku zakład dostarczał niezamożnej ludności poniżej ceny kosztu mleka dla dzieci, przyrządzonego indywidualnie w pojedyńczych porcyjkach i wyjałowionego. Dzieci korzystając z zakładu podlegały kontroli lekarskiej; również matkom udzielano porad i wskazówek z zakresu hygieny niemowlęcia codziennie od godziny 12 do 1.

W ciągu ubiegłego roku wydano mleka dla dzieci przeszło 20.000 litrów.

Równocześnie otwartem zostało przy zakładzie Biuro porady dla matek także i karmiących, w którem ważono dzieci i codziennie udzielano wskazówek matkom.

Zakład wziął udział w Wystawie przyrodniczo-lekarskiej i hygienicznej we Lwowie w roku 1907 przedstawiając poglądowo urządzenie „Kropli mleka"; jak również rezultaty osiągnięte w ciągu dwóch lat istnienia i został odznaczony na tejże Wystawie medalem złotym.

Z początkiem trzeciego roku istnienia ustanowił zakład premie dla matek tak korzystających z zakładu, jak i też i dla karmiących sposobem naturalnym a uczęszczających do biura porady dla matek. Premie te wynoszące po 10 koron rozdaje się w okresach trzechmiesięcznych matkom wyróżniającym się starannością w pielęgnowaniu niemowlęcia i regularnem uczęszczaniu do wagi. Fundusz na pokrycie premii stanowi część subwencyi miejskiej, jakoteż datki prywatne.

Kraków, dnia 1 listopada 1907 r.

Dr Tadeusz Żeleński.

Przeciw wągrom i wyrzutom na skórze. Zaskórniki, wągry i inne zanieczyszczenia skóry występują wskutek zatkania gruczołów łojowych. Głównym warunkiem do ich usunięcia jest należyte pielęgnowanie skóry i prawidłowy stolec, oraz zmywania twarzy; zarazem trzeba zachowywać dyetę owocową (p. książeczkę: „Umiarkowanie").

Rady praktyczne przeciw wypadaniu włosów. Słynny specyalista w chorobach skórnych prof. dr O. Lassar, mówi, iż niesłuszny jest pogląd, że łysina jest zanikiem starczym — wywoływanym bądź to przez hulaszcze życie, bądź przez usilną pracę umysłową itd. Przyczyn łysin jest wiele; w pierwszym rzędzie łojotok, nadmierne kataralne wydzielanie gruczołów włosowych, które po wyczerpaniu prowadzi do zaniku czynności. Kto podczas zamyślenia, snu itp. drapie się w głowę, ten niewątpliwie ma ją nie w porządku. Zdrowy włos wogóle nie wypada. Po za łojotokiem, mogą się na głowie różne choroby skórne umiejscowiać: liszaj wyłysiający, parch, łuszczyca pospolita itd., które również łysinę za sobą pociągają; wreszcie, choroby wewnętrze: błonica, odra, płonica, tufus i przymiot, które przy wydzielaniu toksyn po lub podczas choroby pogarszają i tak już najczęściej nie najlepszy, stan gruczołów włosowych. Dodać należy powszechne używanie pomady i smarowidła do włosów, które same przez się najczęściej nieszkodliwe, ulegają na głowie rozkładowi, dzięki przesądowi, szczególnie u kobiet, że woda włosom szkodzi i że głowę wystarcza raz na miesiąc myć. Przeciwnie, częste mycie, tarcie i mydlenie jest zasadniczo najlepszą ochroną przeciwko wczesnej łysinie — bo wszelka łysina jest przedwczesną.

Sztuczny wychów prosiąt. Jeden z praktycznych rolników podaje sposób wychowu prosiąt bez matki, gdy ta zginie podczas

porodu, albo wkrótce po porodzie. Sposób ten, podobno wypróbowany w rozmaitych wypadkach, polega na tem, że prosiętom podaje się przegotowane i ochłodzone odpowiednio, nierozcieńczone (pełne) mleko krowie z dodatkiem surowych jaj i cukru. Mianowicie do 1 litra mleka wbija się dwa surowe jaja i dodaje 2 łyżki stołowe cukru, poczem wszystko mocno się miesza. Mleko takie wlewa się następnie do flaszki i przy pomocy zwykłej pypki do ssania daje się po trochę każdemu prosięciu. Resztę mleka zlewa się na talerz lub do małego korytka i podaje prosiętom, które zazwyczaj odrazu piją z takiego naczynia. Cukier i surowe jaja są bardzo dobrym, łatwo strawnym pokarmem, przyczem cukier działa lekko przeczyszczająco, jaja nieco zatykająco; gdyby więc u prosiąt pojawiła się biegunka, to trzebaby brać nieco mniej cukru na litr mleka i przeciwnie w razie zatwardzenia nieco więcej. Dokładna kontrola prosiąt pod tym wzgiędem jest bardzo polecenia godna.

Zupa postna z jarzyn. Ugotować ze solą rozmaitych jarzyn np. marchwi, kalarepy, selerów, pietruszki, kartofli i t. p. Wszystkie te jarzyny oczyszczone, pokrajane i oparzone gorącą wodą, następnie nalane świeżą zimną wodą i posolne gotować, póki się zupełnie nie rozgotują, wtedy przez durszlak lub włosiane sito przeciera się je tym smakiem, w którym się gotowały. Gdy już wszystkie jarzynki są przetarte przez durszlak zaprawić zupę łyżką masła, utartego z kilkoma żółtkami, rozgrzać zlekka, wsypać zielonej, drobno usiekanej pietruszki i podać do stołu z grzankami z bułeczki pokrajanej w kostkę. Zamiast żółtek można dać łyżkę mąki, ale wtedy trzeba zupę zagotować. Zupa taka powinna być dobrze gęsta.

Zupa z powideł. Rozgotować w wodzie duże, pełne łyżki powideł, przecedzić przez sito, zaprawić kwaśną śmietaną, dodać cukru do smaku, odrobinę tłuczonego cynamonu i wydać. Do tej zupy można podać grzanki z bułki krajane w talarki lub kostkę, przesmażone trochę na maśle i posypane cukrem.

Zupa rumiana postna. Drobno poszatkować duże dwie marchwie, jeden seler, kilka korzeni pietruszki i dwie całe cebule, kto ma może dodać jeden kalafior i trochę groszku suszonego, zielonego. Usmażyć to wszystko w rondlu w $1/4$ funta masła — jeżeli może być więcej masła do lepiej, dopóki wszystkie jarzynki nie nabiorą ładnego ciemno rumianego koloru. Gdy to nastąpi nalewa się dwie kwarty (litry) wody lub jeszcze lepiej zupy grochowej, t. j. gotowanego grochu na wodzie i przetartego przez sito, i znowu się gotuje przez półtorej godziny. Zupa ta nabierze pięknego koloru, jeżeli się po ugotowaniu dobrze ustoi a potem przecedzi, podaje się z grzankami, w kostkę krajanemi lub naleśnikami pokrajanemi w podłużne płatki.

Zupa kminkowa. Zrobić tłustą ciemną zaprażkę, zalać wodą gotowaną z kminkiem i jarzynami, posolić i gotować parę minut, można podać z grzankami, suchą bułką, krajaną w kostkę lub z makaronem zagotowanym już w tej zupie.

Zupa z jarzyn zabielana. Czyste opłukane i drobno poszatkowane jarzynki, gotować aż będą miękkie, wtedy rozpuścić $1/2$ litra kwaśnej śmietany i wydać. Chcąc mieć lepszą można dodać łyżkę świeżego masła, co wszystkie postne zupy bardzo podnosi, jeżeli ma być jeszcze lepsza to wbić jedno lub dwa żółtka, ale same tylko żółtka bez białek. Żółtko trzeba najpierw osobno w małem garnuszku z odrobiną ciepłej zupy dobrze montewką (rogalką) rozkłucić i dopiero wlać do zupy, mieszając ciągle. Dawszy bowiem żółtko wprost do zupy zwarzyłoby się i pływałoby całymi kawałkami.

Zewnętrzne oznaki dobroci mięsa. Wybrać mięso bardzo czerwone, oblane tłuszczem białym, przypominającym świeże masło, tłustość powinna być tak twarda, aby nie ustępowała pod palcem. Tłustość miękka, kolor mięsa brunatny lub siny, są niezaprzeczonemi oznakami pośledniego gatunku mięsa.

Zachowanie mięsa w świeżości. 1. Owinąć mięso kilkaorazy, bardzo starannie w czyste, grube płótno, żeby nigdzie powietrze nie dochodziło i włożyć w skrzynię, napełnioną popiołem z węgla drzewnego tak, aby go nie było widać, skrzynię postawić w suchem i chłodnem miejscu.

2. Grube płótno umoczyć w dobrym, mocnym occie, zawinąć mięso, trzymać go zawsze w piwnicy lub chłodnem miejscu co 12 godzin zwilżając powierzchnię płótna świeżym octem.

3. Polewać mięso w obszernem naczyniu zsiadłem mlekiem, zmieniając mleko co 10 lub 12 godzin, przewracając mięso i, naturalnie trzymając je w chłodzie.

Karmienie krów w czasie dojenia, praktykowane w bardzo wielu gospodarstwach, nie jest dobre, wpływa bowiem w dość znacznej

mierze na zmniejszenie mleka. Jest rzeczą znaną, że mleczność stoi w ścisłym związku ze stanem zdrowia i ogólnem usposobieniem zwierzęcia. Jeżeli np. krowa jest chora, w takim razie mleczność zmniejsza się, albo nawet wydzielanie mleka zupełnie ustaje, albo też mleko jest zupełnie chorobliwie zmienione. Wiadomo również, że do pewnego stopnia przynajmniej krowa może zatrzymać mleko, i że z drugiej strony można n. p. przez draźnienie wymienia i ćwiczenie w tym kierunku mleczność podnieść. W tem oddziaływaniu ogólnego usposobienia krowy na mleczność leży główny dowód przemawiający przeciw dojeniu w czasie żywienia krów. Jeżeli się daje krowom jeść w czasie dojenie, wówczas nie stoją nigdy tak spokojnie, jak przy próżnym żłobie; przy równoczesnem jedzeniu i dojeniu musi jedno lub drugie cierpieć. Wiemy, że wszelkie niepokojenie krowy wpływa ujemnie na mleczność: do największych zaś niepokojów zaliczyć należy żywienie krów w czasie doju i walkę o karmę. Ponadto pociąga to za sobą i inne jeszcze niedogodności. Tak n. p. z powodu niespokojnego zachowania się krowy przy dojeniu, dojący sam staje się niespokojny i rozdrażniony i obchodzi się wówczas z krową bardzo źle. Dojenie staje się wówczas niemiłą koniecznością zarówno dla dojarza, jak dla krowy; jedno i drugie chce jak najprędzej skończyć tę nieprzyjemną operacyę, co pociąga za sobą stratę mleka. Przeciwnie, gdy doi się krowy przy pustych żłobach, zachowują się one zupełnie spokojnie; niepokój w oborze zaczyna się dopiero wówczas, gdy krowy zobaczą karmę.

OD REDAKCYI.

Ponieważ bardzo dużo czytelników i czytelniczek „Przodownicy" zwraca się do naszej redakcyi z prośbą o nastręczenie pracy, czujemy się więc w obowiązku podać adresy biur pośredniczących w pracy, do których każdy może się zwrócić o informacye. W Krakowie takie biuro istnieje przy ulicy Jabłonowskich „Okręgowy Urząd pośrednictwa pracy".

Pies i sierota.

Idzie sieroteczka od chaty, do chaty.
Ubogi nie wesprze, odepchnie bogaty.
Biedactwo pół nagie i głodem p zymiera
A tu mróz przejmuje, aż w sercu doskwiera.
Łzy na rzęsach m rzną, ból srogi dojmuje,
Nikt jednak litości nad biedną nie czuje.
Noc straszna nadchodzi, mróz krew w żył ch ścina,
A nie ma noclegu nieszczęsna dziecina.

Pod domem gdzieś w budzie Burek odpoczywa,
Zoczył sieroteczkę i ku niej się zrywa.
Zaszczeknął raz, drugi i przestał szczekania,
A biedna dziecina ze strachu się słania
Lecz burek choć zwierzę, odczuwa niedolę,
I łasi się do niej i liże pacholę,
I do swojej budy, jak umie zachęca,
A litość odczuwa natura dziecięca
I włazi wraz z Burkiem do jego mieszkania
A Burek ją swymi kudłami osłania,
Jak może ogrzewa i życie ratuje,
Biednej sieroteczce ludzi zastępuje.

Gdy rano nadeszło, ludzie powstawali
I biedną sierotkę w psiej budzie zastali,
Jakoś im się serce litością wzruszyło,
Że psie nierozumne lepsze od nich było.
I wzięli do chaty, ogrzali, odziali,
I odtąd już o nią, jak o swoje dbali
A Bóg wszechmocny nagrodził im z nieba
Obdarzył ich szczęściem, nie poskąpił chleba.
Wszystko im się wiodło, dał Bóg urodzaje.
Sto razy Bóg odda, kto raz biednym daje.

Pamiętajże ludu, pamiętajże sobie,
Co ty dasz biednemu, to Bóg odda w niebie.

Do górala.

Góralu z Krościenka, nie patrz do okienka,
Lepiej wejdź do chaty, albo przyślej swaty
Dziewczyna cię czeka, wesele się zwleka,
A my byśmy chcieli, byście się pojęli,
Wesele sprawili i nas ugościli.
Więc się nie ociągaj, daj na zapowiedzi,
A chętnie w swe grono przyjmą cię sąsiedzi.

Dodatek do Nru 12 „Przodownicy“ z roku 1907.

Obrazy z dalekich światów.

Straszna burza na morzu. Kolumb i załoga jego czynią śluby pobożne z prośbą o ocalenie. Kolumb przed królem i królową Hiszpanii.

W dużej chacie zasłanej kobiercem, kunsztownie utkanym z liści palmowych, siedząc na stołkach rzeźbionych z czarnego drzewa, ucztowali znaczniejsi Hiszpanie z Kolumbem na czele. Jedli młode kuropatwy pieczone, przeplatając te mięsne potrawy plackami z kukurydzy, kassawy, korzeni różnych, pomiędzy którymi pataty (bulwy) jedne z pierwszych miejsce zajmowały, próbowali rozmaitych wybornych owoców, z których ananas najlepiej im przypadł do smaku, jakoteż agi (pieprz słodki).

Guakanagari był smutny, bo po skończonej uczcie, admirał, bóstwo jego, miał odbić od brzegów Haiti i puścić się na wielkie wody, a kacyk myślał, że nawet mieszkaniec niebios bezkarnie może nie potrafi przez nie przepłynąć. Wzruszonym głosem mówił do Kolumba:

— Bądź spokojny, wielki admirale, żywności tym z towarzyszów twoich, co tu pozostaną i w wysokim domu zamieszkają, nie zabraknie. Wszystkiego im dostarczę. Czy tobie tylko starczy zapasów na tę długą, straszną podróż?

— O żywność na drogę nie troszcz się przyjacielu — odpowiedział Kolumb. — Oto masz dowód, że mam jej jeszcze sporo.

Skinął na służących Hiszpanów i kazał wszystkim nalać wina do szklanych pucharów, z okrętów przyniesionych. Sam powstał i wznosząc pełną czarę, zawołał:

— Piję na szczęście i pomyślność miłych i dobrych mieszkańców Hispanioli! Za powodzenie załogi pierwszej fortecy „Nowego Świata“, którą nazywam Navidad! [1])

[1]) Narodzenie. — Na pamiątkę rozbicia się „S-ta Maryi“ w noc wigilijną.

— Niech żyje Navidad! — krzyknęli Hiszpanie.

— Vivat Navidad! — wołali krajowcy, naśladując ich.

Wtem straż hiszpańska, stojąca u drzwi domu dała salwę z rusznic, a z oddali z fortecy ozwał się grzmot armat.

— Wnet odpowiedziały im grzmiąco w pośród gór i skał zbudzone echa, a kilka ogromnych kamiennych kul nagle wpadło w gaj, otaczający dom, gdzie ucztowano. Pnie palm i machoniów padły strzaskane, grad gałęzi posypał się na murawę, a dzicy na twarz popadali, drżąc z trwogi zabobonnej, cicho szepcąc:

– Ogień niebieski! Ogień! Biali ludzie niebieskim ogniem władają.

— Nie obawiajcie się — rzekł Kolumb, To nie ogień niebieski, lecz broń ognista Hiszpanów tak ryczy. Umyślnie kazałem przedstawić wam jej moc i grozę. aby wam pokazać jak potężnym jest król Hiszpanów, który was bierze pod opiekę swoją. Tą bronią my was od Karaibów zasłonimy i obronimy...

Haitanie słysząc to, dziecinnej oddali się radości, otoczyli kołem Kolumba i kładąc dłonie na głowach, dziękowali mu za obiecaną obronę i opiekę.

W parę dni potem, o świcie, „Nina“ podnosiła kotwicę, uwożąc ku Staremu Światu, w swych zużytych, podziurawionych przez morskie robaki bekach, niepokrytych nawet pokładem, wieści o Nowym Świecie.

Ze smutkiem rozstawali się pozostający z odjeżdżającymi. Owi trzydziestu dziewięciu, składający załogę fortecy, patrzyli na odpływających, jak na straconych prawie, ci zaś myśleli, że porzucają towarzyszy w nieznanych pustkowiach dzikich krain, otoczonych również dzikiemi plemionami, których dotychczas owa dobrotliwość może pochodzić z przesądnej trwogi przed mniemanymi synami niebios, a łatwo się zmieni w drapieżność, skoro

się przekonają, że Hiszpanie są tylko cudzoziemcami.

Guakanagari wylewał tylko szczere łzy żalu, za tak cudownie, a na tak krótko zesłanym mu przyjacielem.

Kiedy już „Nina“ była na pełnem morzu, wsiadł do szalupy z trzydziestu wioślarzami Guakanagari i jakiś czas płynął za nią i wołał:

— Admirale! Niech ci wielkie wody przychylne będą! I wracaj! Wracaj do przyjaciela swego!...

Hiszpanie z wieży Navidadu długo powiewali chustkami. Kolumb stał na wyniosłym tyle okrętu i patrzył na nową fortecę, na nowych przyjaciół, aż straciwszy ich z oczu, zeszedł do kajuty, rozłożył dziennik, który prowadził od dnia odbicia od brzegów Hiszpanii i zapisał w nim:

„W imię Jezusa Chrystusa. Spełniwszy z Bożą pomocą, rozkaz bardzo chrześcijańskich, bardzo wysokich i bardzo doskonałych a potężnych monarchów króla i królowej wszystkich Hiszpanii i wysp morskich, dziś 4 stycznia roku pańskiego, w którym obecnie żyjemy, 1493 odbiłem od brzegów nowo odkrytej wyspy, przez krajowców Haiti zwanej, a przezemnie Hispaniolą mianowanej i puściłem się na morze w powrotną podróż, daj Boże, szczęśliwą.

„Nina“ miała złe żagle i maszty, deski spróchniałe, źle więc płynęła, kiedy tylko przyszło jej walczyć z przeciwnym wiatrem, nie mogła podołać. Kolumb więc zawijać musiał do zatok i przystani po drodze, tak, że dużo czasu cennego z tej przyczyny tracił. Kiedy tak jednego razu walczyła z wichrem daremnie, a Kolumb chmurny i smutny patrzył w przyszłość, ujrzano z daleka na morzu zaginiony od kilku miesięcy drugi statek „Pintę“.

Kiedy się zbliżyła i żeglarze powitali się, Pinzon, dowódca statku, który był także bardzo odważnym i walecznym i obok Kolumba wielkie zasługi położył, jął opowiadać, że niepogoda i wzburzone morze oddaliło go od niego, lecz Kolumb zmiarkował odrazu, iż Pinzon oddalił się umyślnie, by na własną rękę działać, uczuwszy zazdrość w sercu względem wielkiego człowieka. Po przemówieniu się wzajemnem wobec grożących im niebezpieczeństw, postanowiono razem dalej żeglować.

Płynąc ciągle wzdłuż północnych wybrzeży Haiti, Kolumb chciał poznać Karaibów, zamieszkających tam, o których powiadano, że zjadają małe dzieci. Ciekaw był Kolumb poznać bliżej życie tych ludzi, o których słyszał dużo ciekawych rzeczy. Mieli oni mieć jednę wyspę „Mantinino“ zwanej, zamieszkałej tylko przez same kobiety i dzieci, do których mężczyźni przypływali tylko raz do roku, dla odwiedzenia małżonek swoich, dzieci zaś z tych związków pochodzące, dzielą się między ojców i matki w ten sposób, że chłopcy podrósłszy szli za ojcami, a dziewczęta pozostawały na wyspie, aby z nich rekrutowały się przyszłe matki karaibskiej rasy. Karaibki były nader wojowniczego usposobienia, silne, rosłe, uzbrojone jak ich ojcowie i bracia, rzucały się często same na wrogów. Chciał dalej zwiedzić wyspę Boriken, Porto-Rico nazwanej później, ale majtkowie szemrać poczęli, że admirał nowe odkrycia robić pragnie, zamiast powracać do ojczyzny, a że począł dąć wiatr pomyślny do drogi, admirał mimo zapału i ciekawości do dalszych odkryć, wydał rozkaz skierowania okrętów w stronę Hiszpanii.

Zima z 1492 roku na 1493 była tak burzliwą na Atlantyku, że najstarsi mieszkańcy Iberyjskiego półwyspu, podobnej nie pamiętają. Oba statki nieustanie miotane były przez olbrzymie fale. Nietylko dzień każdy i wszystkie noce, lecz każda chwila groziła zagładą małym zniszczonym statkom, pozbawionym pokładu. Żeglarze walczyli z niezmierną odwagą i wytrwałością, lecz w rzeczy samej szczęśliwe doprowadzenie statków do portu w taką pogodę i po takiem morzu, zdawało się być przedsięwzięciem nad siły ludzkie.

Jednego razu wszczęła się tak gwałtowna burza, niebezpieczeństwo było tak groźne, że żeglarze na „Ninie“ wyczerpawszy wszystkie środki ratunku i wszystkie siły swoje, poczęli modlić się i śluby robić. Włożono do kapelusza tyle ziarn fasoli ilu ludzi było, jedno z tych ziarn naznaczono krzyżem i postanowiono, że kto je wyciągnie, odbędzie pielgrzymkę do cudownej św. Maryi w Guadelupe i ofiaruje woskową pięciofuntową świecę. Kolumb pierwszy ciągnął i los go wyznaczył. Że jednak straszliwy ryk burzy nie ustawał, ani na chwilę, i „Nina“ to kładła się bokiem na fali, to znów wyrzucona w górę, chwiała się na spienionych grzbietach bałwanów, jakby wahała się z której strony ma runąć w odrytą wokoło niej przepaść, a olbrzymie wały wody co chwilę zawisały nad głowami po-

dróżnych, żeglarze jeszcze kilka razy, losy ciągnęli, Kolumb znów został wyznaczony na nową pielgrzymkę. wtedy modlitwy załoga szemraniem przerywać zaczęła, mówiąc iż on to wyraźnie największym jest grzesznikiem, który pychą obraża Boga i ma karze uledz, wciągając w nią i niewinnych.

Jeszcze raz ślubowali wszyscy, że gdy ocaleją, to przy pierwszej napotkanej kaplicy poświęconej Najświętszej Pannie, pójdą do niej boso, odziani tylko w koszule, aby dziękować za cud ocalenia. Wieczór był, kiedy ów ślub zrobiono, a noc. która po niej nastała, była gorszą, niż wszystkie poprzednie, żywioły rozsrożyły się, jak gdyby koniec świata się zbliżał. Kolumb w obawie o „Pintę" kazał wywiesić na maszcie „Niny" pochodnię, aby służyła Pinzonowi za drogowskaz i pomogła mu trzymać się w bliskości, poczem wszedł do kajuty i pisał list do królewskiej pary.

...Giniemy... Najsilniejsza wiara zachwiać się może, kiedy patrzę na grozę położenia naszego... Złe losy zniósłbym z większem poddaniem się woli Bożej, gdyby szło tylko o moją osobę, bo życie Stwórcy zawdzięczam i nieraz już o krok jeden od śmierci byłem, lecz źródłem wielkiego bólu jest myśl, że będąc już w możności przekonania tych, którzy mi przeczyli i dania waszym Królewskim Mościom razem z wielką sławą, nowe i obszerne posiadłości, mogę w tem być powstrzymany przez śmierć z woli Boga.

Dalej polecał jeszcze ich królewskiej opiece dwóch swych nieletnich synów. Napisawszy ten list Kolumb postanowił natychmiast przystąpić do ostatecznego czynu żeglarzy. Spisał na pergaminie krótką opowieść o podróży swojej, o ziemiach, które odkrył, a także o drodze do nich wiodącej, zwinął pergamin w zwój, opieczętował i napisał na nim: Przeznaczone do rąk króla i królowej Hiszpanii, a zarazem obietnicę tysiącem dukatów dla tego, który znalazłszy to pismo, odda je według przeznaczenia. Pismo to zawinął w napojone smołą płótno i umieściwszy je w dużym wałku wosku, zamknął je w beczce, którą natychmiast w morze rzucił.

Nieco uspokojony tym środkiem, który miał zabezpieczyć odkrycie jego od zupełnej zagłady, admirał ciągle przez noc całą przewodził walką z rozwścieczonemi żywiołami, a gdy ponury brzask poranku zawitał on przeglądał z trwożnym niepokojem widnokrąg w nadziei, że ujży w oddali żagle „Pinty". Daremnie jednak wytężał spracowane swe oczy żeglarza, od bezsenności i słonych bryzgów morskiej wody zaczerwienione, widział tylko nieskończone, czarno-zielone ogromne fale nad któremi nizko, prawie ich dotykające, leciały chyżo, ciemnoszare rudawe, do dymów olbrzymiego pożaru podobne chmury.

Wicher dął ciągle z niezmierną siłą od południowej strony — „Pinty" nigdzie nie było. Powoli jednak szere oczy Kolumba jakby błyskiem radości świecić poczęły, poważne i smutne oblicze rozjaśniało się promykiem nadziei... ujrzał wązkie pasemko błękitnego nieba na zachodzie. Doświadczony żeglarz poznał po tem, że rychło wiatr zmieni się i powieje pomyślnie dla niego z zachodu. Tak się też i stało. Pomimo bardzo jeszcze wzburzonego morza, „Nina" mając wiatr w tył. chyżo płynęła w pożądanym wschodnim kierunku, aż o świcie 15 lutego majtek z bocianiego gniazda oznajmił ziemię. Radość wielka zapanowała wśród załogi, która teraz witała „Stary Świat" z większym jeszcze zapałem, niż to czyniła niedawno na widok „Nowego". Zbliżali się do wysp azorskich.

Lecz teraz burza znowu rozszalała, zupełnie, jak gdyby jaki duch wodny, zazdrosny o tajemnicę oceanu, chciał wiozących o niej wieści zatopić w bezdnie. Całe dwie doby rzucały jeszcze fale „Niną", niby małym szczątkiem, pozostałym po rozbitym okręcie. Daremnie Kolumb starał się schwytać każdą chwilkę zacisza, aby módz zawinąć do jakiej zatoki przy którejkolwiek z wysp, co majaczyły wśród stróg deszczu, chaosu fal, zwałów chmur i kłębów mgły. Raz nawet zarzucono już kotwicę lecz liny pękły i dopiero 18 lutego nad ranem udało się wejść do zatoki, a posłana na zwiady łódź, przyniosła, wiadomość, że to jest wyspą „św. Marya", ostatnia, z azorskich ku południowi.

Zdumienie ogarnęło mieszkańców wyspy na widok wątłego statku stojącego na kotwicy. Zdawało im się niemożliwem, aby mógł ocaleć wśród tak strasznej burzy. Ciekawość i zdziwienie wzmogły się jeszcze bardziej, kiedy się dowiedziano, iż przebywał on hen za oceanem, w jakimś bardzo odległym i dziwnym kraju. Kolumb dowiedziawszy się, że opodal na brzegu wznosi się kaplica poświęcona Najświętszej Pannie, przypomniał załodze ślub uczyniony. Przysłano z wyspy księdza do kaplicy, a Kolumb podzieliwszy załogę na dwie kompanie, które

kolejno miały pielgrzymkę odbyć, posłał jedną na ląd, sam zaś z drugą czekał na okręcie, aż tamci powrócą.

Zaledwie jednak zbiedzeni żeglarze boso i w koszule tylko odziani, uklękli przed małą kapliczką i rozpoczęli dziękczynne modły, kiedy gromada jeźdźców otoczyła ich, a gubernator wyspy uwięzić ich kazał. Dowiedziawszy się o tem Kolumb, przypomniał sobie niechęć Portugalczyków dla swoich zamiarów, a teraz domyślał się zawiści z powodu powodzenia stawiania mu z tej przyczyny przeszkód w drodze. Wysłani pełnomocnicy gubernatora, zażądali, aby się wykazał patentami królewskimi, co gdy zrobił i papiery jego przeglądnięto, gubernator rad nie rad wypuścić kazał uwięzioną załogę.

To pierwsze powitanie na cywilizowanej ziemi Europejskiej, napełniło goryczą szlachetną duszę Kolumba — wspomniał swego dzikiego przyjaciela na Haiti — ale inne go jeszcze czekały niespodzianki w życiu od cywilizowanych synów Europy.

Stąd popłynął dalej ku brzegom Portugalii. Kilkakrotnie jeszcze w drodze byli żeglarze bardzo blizcy śmierci... „Nina“ pozbawiona była już żagli, przeciekająca jak rzeszoto, drżała w wichrze, jęczała skrzypiąc rozluźnionemi stawami. Ot, jeszcze chwila, a rozlecą się te spróchniałe deski.

— Skała Cintra!... Cintra przy ujściu Tagu! — zawołali żeglarze, co już ją sto razy widzieli.

Nareszcie jeszcze po ogromnych, kilkugodzinnych wysiłkach przybili do brzegów portugalskich i zarzucili kotwicę naprzeciw Rosello, ku powszechnemu zdumieniu mieszkańców, którzy od rana patrząc na te rozpaczliwe zapasy garstki śmiałków z gniewnym, jak nigdy oceanem, modlili się o ratunek dla ginących, bo inaczej przyjść im z pomocą nie mogli.

Stąd udał się Kolumb do Lizbony, stolicy Portugalii, gdzie pragnął kilka dni wypocząć, lecz tu czekało go znowu w królewskiej stolicy, większe niebezpieczeństwo, niżeli między dzikiemi plemionami Nowego Świata. Zawistni dworacy króla portugalskiego, którzy wtedy, gdy Kolumb usługi swe ofiarowywał Portugalii, wyśmiali go, teraz widząc jego zwycięzki powrót, przekonawszy się, ile złota przywiózł, bojąc się, aby zawładnięcie tak bogatemi i obszernemi krajami nie wzmogło potęgi Hiszpanii i nie dało jej przewagi nad Portugalią, namawiali króla aby go kazał zabić. Łatwo jakimś łajdackim wymysłem miano upozorować słuszność tej zbrodni.

Lecz król portugalski Jan II. miał zbyt szlachetny charakter, aby mógł usłuchać tak nikczemnej rady; — wolał pójść za zdaniem tych, którzy dowodzili konieczności natychmiastowego wystawienia zbrojnej floty i posłania jej dla zajęcia odkrytych, lecz jeszcze nie zakolonizowanych przez Kolumba ziem.

Przyjął Kolumba grzecznie i odpowiednio do zasług jego, jakoteż i do wysokiego stanowiska, które zajmował, pozwolił mu siedzieć w swej obecności, co było przywilejem osób jedynie z krwi królewskiej pochodzących i wysłuchawszy z niezmierną ciekawością sprawozdania z podróży i odkryć nie mógł, pomimo panowania nad sobą ukryć żalu i pewnej do Hiszpanii zawiści.

Musiał jeszcze Kolumb zajechać po drodze do klasztoru, gdzie bawiła królowa portugalska, aby ona z własnych jego ust usłyszała te dziwa i cuda, o których wieść lotem ptaka już po całym kraju rozlatywała się. Słuchała królowa z gorączkową ciekawością, a damy jej dworu uszom swoim wierzyć nie chciały.

Poczem Kolumb wsiadł znowu na sławną po wszystkie czasy „Ninę“ i odpłynął na niej do Hiszpanii.

* * *

Przeor klasztoru, Ojciec Jan Perez, znany nam już z początku opowiadania, stał przy oknie wysokiej celi swojej. Wzrok jego błądził po bezgranicznem morzu, a myśl czemś ważnem zajętą była.

Ale Ojcu Janowi przerwano myśli. Ktoś niecierpliwie do drzwi zapukał, a do celi wszedł człowiek mniej więcej trzydziestoletni, w rysach którego, niepospolite malowało się wzruszenie.

— Ach to wy Garcio Hernandesie, — rzekł odwróciwszy się przeor — ale cóż to porusza was tak gwałtownie?... Dlaczego nie widzę was poważnym i spokojnym, jakim zwykle jako uczony bywać zwykliście? Co was do mnie sprowadza?...

Garcia Hernandez w poblizkim Palos zamieszkały, był istotnie uczonym lekarzem, fizykiem, kosmografem, posiadał wiedzę głęboką, umysł wielce czynny, badający zjawiska przyrody, a nadewszystko interesujący się odległemi krajami ziemi, o których tylko ciemne krążyły wieści. Był on w mowie

i postępowaniu, zwykle wielce oględnym, dziś jednak wydawał się wzburzonym niepospolicie.

— Ojcze Janie, przemówił, oddychając szybko, bo drogę do klasztoru pod górę przebiegł bez odetchnienia. Czy przypominacie sobie człowieka, co to przed dwoma laty przybył do klasztoru, którego poleciliście królowej Izabelli?...

— Krzysztof Kolumb — odrzekł Ojciec Jan.—Niepospolity to człowiek. Jakżeż często, stojąc tu przy oknie, myślałem o nim. Ileż to razy, serce moje o niego drżało, kiedy burza mgłą gęstą ocean pokrywała, boć to wyprawa na śmierć i życie. Czy macie jakie wieści o nim? Czy wrócił może?...

— Rzeczy niesłychane, Ojcze Janie, zawołał Garcio Hernandez... Co za wieści przynoszą nam kupcy z Sewilli! Jeden z towarzyszy Kolumba Pinzon, wylądował na północnym zachodzie Hiszpanii i posłał królowi wiadomość o nowo odkrytych ziemiach. Sam zaś Kolumb, z powodu przeciwnych wiatrów, zmuszony był zawinąć do Lizbony. Zawistni Portugalczykowie chcieli go zamknąć w więzieniu, wszelako list żelazny króla, uszanowany być musiał. Kolumb lada chwila może się zjawić w Palos. A czego on nie wiezie?.. Cuda nad cudami! Czerwonych ludzi, ptaki krasnopióre, korzenie cenne, owoce niewidziane i złoto Ojcze Janie, szczere, rodzinne złoto w ogromnej ilości!

— Bogu w niebiosach niech będą dzięki — zawołał przeor składając ręce — udała się sprawa wielka i droga morska do bogatych Indyi, odkrytą została. *).

— Tak jest, Ojcze Janie — odparł z żywością Garcia Hernandez. — A teraz w drogę! siadam na brzegu morskim i nie odejdę, dopóki nie uściskam dłoni Kolumba. Cała ludność nie posiada się z radości!

— I ja odkrywcę powitać muszę — rzekł przeor — wprowadzając go do domu Bożego, aby złożyć dzięki Wszechmocnemu za opiekę, bez której niczby nie pomogły wszelkie listy monarsze i wszystkie armaty świata.

Dźwięki dzwonów dały się słyszeć z Palos. Były to echa radosne. Na odległym bowiem widnokręgu, dostrzeżono biały żagiel i statek, a w nim poznano okręt „Ninę“, który w dniu 3 sierpnia 1492 r. wraz z dwoma innymi okrętami „Santa Maria“ i „Pintą“, wypłynął z Palos na morze. Ale czemu sam jeden wracał?... Gdzie się podział wspaniały okręt admiralski „Santa Maria“?... Dowiedziano się niebawem, że szczątki jego butwiały na wybrzeżu nowo wysp odkrytych.

O samem południu zarzuciła kotwicę „Nina“ w łachmanach do widma podobna, a z niej wyszli ojcowie, bracia i mężowie, wychudli, zmizerniali, łachmanami okryci, lecz cudem niepojętym — żywi!...

„Pinta“ przybyła na wieczór, a zawistny Pinzon, który się już radował iż Kolumb zginął na morzu, sam sobie przywłaszczywszy odkrycie, wysłał już listy do króla, zawód go spotkał nie mały, gdy zastał „Ninę“ na kotwicy stojącą.

A więc można przepłynąć ten tajemniczy ocean, myśleli ludzie, biegnąc ku wybrzeżu — można zwalczyć i jego olbrzymie fale i jego straszne potwory, wichry i ten chaos, co mu gdzieś tam za granice służy?...

Biegły więc tłumy, popychając się i krzycząc napół przytomne od radości, ciekawości, biegły ku temu okrętowi, co jak widmo wrócił, zkąd jeszcze nikt nie wracał.

A oto idzie Kolumb, wielki Kolumb... Najznaczniejsi obywatele miasta pod ramiona go wiodą, a twarze wszystkich pałają zapałem, uniesieniem bez granic. — Niech żyje Krzysztof Kolumb! wrzasnęły tłumy! Niech żyje największy żeglarz świata!

Niech żyje najsławniejszy żeglarz wszystkich stuleci i tych co przeszły i tych, które będą! wołał przeor klasztorny Jan Perez, z twarzą rozpromienioną, prawie nieprzytomny z radości.

Wśród zgiełku, wrzawy i tłoku, nastała chwila ciszy, jak to czasem bywa, a głos jakiś ozwał się:

Gdzie są ci, co mu takie przeszkody stastawiali? Ci co go przeklinali?

Kto przeklinał?! ryknął tłum. — Kto wstręty czynił? Tego nie było jako żywo! Nikt nie przeszkadzał!... Kto to mówił? Tu go dawajcie!...

Rybacy, żeglarze, cały ten lud nadbrzeżny co żył na morzu i z morza tylko krzyczał, huczał, śmiał się i szalał. Ogarnął go zapał nigdy niebywały i z nad brzegów morza rozleciał się po całej Hiszpanii, ba, po świecie całym leciał dreszcz ciekawości palącej, sen z powiek spędzający, jakiby dziś wstrząnął światem, gdyby nadleciały wieści z jakiejś pla-

*) Wtedy myślano, że odkryte przez Kolumba ziemie, należą do Indyi azyatyckich, drogi do nich przez morze szukano, dla korzyści handlowej sam Kolumb tak myślał, a Haiti brał za Japonię. Późniejsze czasy dopiero te pomyłki wyświetliły.

nety, n. p. z księżyca, zleciały okazy rzeczywistego życia jakichś istot ludzkich.

Odpocząwszy po trudach podróży u przyjaciela swego przeora, w klasztorze de Rabida, ruszył potem Kolumb do Barcelony, gdzie dwór królewski przebywał wówczas. Podróż jego przez hiszpańskie kraje i miasta była jednym tryumfalnym pochodem. Tłumy wieśniaków zalegały drogi, spotykając go z niezmiernymi okrzykami zapału. W miastach, ulice i place roiły się od mieszkańców, z balkonów sypały się kwiaty. W połowie kwietnia zbliżał się do Barcelony, kiedy ujrzał wyjeżdżający mu na spotkanie liczny i świetny orszak konny, złożony z dworaków i rycerzy hiszpańskich. Za nimi cisnął się nieprzejrzany tłum ludzi. W jednej chwili urządzono tryumfalny pochód. Przodem szło sześciu Indyan, umalowanych według ich obyczajów, z piórami we włosach i obwieszonych złotemi ozdobami. Za nimi niesiono mnóstwo żywych papug i innych ptaków, a także wypchane zwierzęta nieznane. Potem szedł długi szereg sług niosących na aksamitnych poduszkach rozłożone złote korony kacyków, ich naramienniki, naszyjniki i próbki złotego piasku, lub bryłki złota.

W ślad za temi zdobyczami, z tajemniczych krain przywiezionemi, jechał Kolumb na białym rumaku, wspaniale odziany w szkarłatny płaszcz i takiż kaftan, a za nim na ognistych biegunach harcowali rycerze. Tuż obok admirała, lecz nieco w tyle, jechał urzędnik dworu, wiozący tarczę, na której wymalowany widniał herb, przez królewską parę Kolumbowi i potomstwu jego nadany. Przedstawiał on zamek, lwa i grono wysp otoczonych wodą, a wokoło wiły się dwa wiersze: „Królestwom Kastylii i Leonu, Nowy Świat darował Kolumb“.

Jechał tak Kolumb, niby tryumfalny wódz, a wspaniała jego postawa i czcigodny wygląd wzbudzały powszechny podziw.

W olbrzymiej, a niezmiernie bogato przebranej komnacie, umyślnie otwierającej swoje arkady, na spojrzenia tłumów, pod baldachimem ze złotogłowiu, siedzieli król i królowa z królewiczem Janem, otoczeni licznem gronem tych, którzy byli sławni, wielcy, mądrzy i bogaci. Kiedy Kolumb wchodził na salę, król i królowa powstali z tronów i kilka kroków postąpili na spotkanie człowieka, który myślą, czynem i zasługą dorównał najdostojniejszym. Kolumb ugiął kolano przed majestatem i chciał ręce królewskie ucałować, lecz Ferdynand i Izabella cofnęli się przed tym hołdem takiego człowieka, a uznając go w głębi swych dusz za wyższego od siebie, z klęczek go podnieśli i obok tronu posadzili, co było niezwykłym zaszczytem na tym dworze tak dumnym.

— Witaj nam, admirale oceanu! Dobroczyńco Hiszpanii! który powracasz ztamtąd, gdzie z ludzi jeszcze nikt nie był, jakbyś wraca z za świata — przemówił bardzo wzruszony król.

— Dawno opłakaliśmy was, kiedy tak długo wieści nie było... Więcej jak królewskie dary składacie — dodała królowa — a wzruszenie łzami zaszkliło jej wielkie, modre oczy.

— Opowiedz nam admirale o nowo odkrytych ziemiach, o ludziach. Coś widział? Coś przeżył?

— Wszystko to najdokładniej opisałem w dzienniku moim i dodam tylko, że ludzie tam są nadzy wprawdzie, lecz łagodni, ufni i gościnni, dzikimi ich nazwać nie można, bo serca ich dostępne dla litości i przyjaźni, czego dowody miałem owej nocy nieszczęśliwej, kiedy „Ś ta Marya“ w piaskach przybrzeżnych ugrzęzła. Gdyby Wasze królewskie Moście mogły wówczas ujrzeć te łzy, które zabłysły w oczach kacyka Guakanagarego i ten ruch serdeczny, którym mi podał swoją koronę złotą, aby mnie pocieszyć, ofiarowując mi wszystko, co posiada, to pewnie by Wasze królewskie Moście postanowiły, że rodzicielskie serca dla tych nowych poddanych swoich mieć będą.

— I będziemy! — razem odezwali się król i królowa — tak nam Boże dopomóż!

Kolumb mówił dalej:

Najlepsze pojęcie dać mogą przedmioty przezemnie przywiezione daleko dokładniejsze, aniżeli to, któreby mogło powstać z nieudolnych słów moich. Niech Wasze królewskie Moście raczą rozkazać, aby przyprowadzono wyspiarzy i przyniesiono ich wyroby, a także złoto, okazy ptaków, zwierząt i roślin.

Król skinął, a Kolumb kazał wprowadzić Indyan, którzy niezmierną ciekawość budzili,

Gdy usłyszano ich dziwną mowę i ujrzano pasy z barwnych kamyków i kostek sporządzone, broń drewnianą rybiemi zębami nabijaną, a zwłaszcza naszyjniki i korony złote bryłki tegoż kruszcu i złotodajnych pianek, zdumienie granic nie miało, w sali powstał zamęt i gwar taki, że aż mistrz ceremonii musiał przywołać zgromadzonych do porządku,

D. c. n.

WYWŁASZCZENIE.

Odwieczny wróg nasz, Prusak jadowity,
Co, niby pająk, sieci wszędzie snuje,
Dyszący złością i zemsty niesyty,
Nową przeciwko Polakom broń kuje.
„Wypędzić!!“ – hasło z bismarkowskiej doby
Korzyści mało przyniosło mu zgoła,
Przeto na nowe bierze się sposoby:
Z pianą na ustach dziś „wywłaszczyć!“ woła

Zabrać chce ziemię, którą w ciężkim trudzie
I w pocie krajał polski pług od wieka,
I mistrz nad mistrze w fałszu i obłudzie,
Bezprawie w formę prawa przyobleka.
W swej bezgranicznej ku Polakom złości,
Chce, by podstawy życia im odjęto,
Pragnie Polaków pozbawić własności,
Którą, jak inni, sam nazywa — świętą.

Już syczą rade gadziny i węże,
Prusactwo płonów nadzieją się pasie,
Nowe do ręki dostają oręże
Przeciw obmierzłej im słowiańskiej rasie.
Już w gabinetach pracują uczeni,
By paragrafy zgrupować wykrętnie,
Sejm nowe prawo na świat wyśle z cieni
A majster Wiluś podpisze je chętnie.

I wnet ku Wiśle, Warcie i Noteci,
Wszędzie, gdzie siedzi jeszcze Lecha plemię,
Robactwo pruskie zgrają się rozleci,
Ażeby wydrzeć najdroższy skarb — ziemię.
I znów łzy będą w nieszczęsnej krainie,
Znów *Drang nach Osten* zaznaczy swe ślady,
Ponurem echem w dal siną popłynie:
„*Wacht an der Weichsel*“, jak wyrok zagłady.

Czy nigdzie na to ratunku niema?
Czyli się sprawdzą Prusaków rachuby?
Polak, co dotąd ziemię krzepko trzyma,
Będzie się bronił uparcie od zguby.
Jeśli zagłady jednak ujść nie może,
Kiedy mu wszystkie potargają struny,
Niechaj ta ziemia, co nam rodzi zboże,
Wyda Prusakom ciernie i piołuny.

NIEPIŚMIENNY.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie,
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy, panowie, pisać umiecie.
Dajcie mi pióro i kartkę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie,
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskywica po jasnem niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze
Dumkę po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny
A teraz wszystko marnie ulata:
Bom nieuczony, bom niepiśmienny!
Jakie rozkosze, Jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta rozumie, pióro wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią,
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu, jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie;
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe,
Ja was nie chwycę – jam niepiśmienny!

L. Kondratowicz (Wł. Syrokomla).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.